

Edward Wojtusiak

Karpacki zaścianek we wspomnieniach pamiętnikarzy i w świecie miejscowych archiwaliów

Przegląd Socjologiczny Sociological Review 24, 319-361

1971

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

EDWARD WOJTUSIAK

KARPACKI ZAŚCIANEK WE WSPOMNIENIACH PAMIĘTNIKARZY I W ŚWIETLE MIEJSCOWYCH ARCHIWALIÓW

Niniejszy artykuł jest częścią większej całości. Jej przedmiotem są procesy kulturotwórcze, dokonujące się wśród ludności karpackiej w ciągu przeszło 500 lat, tj. od pierwszych fal imigracji rolniczej spod Puszczy Niepołomickiej w Beskid Wyspowy (XIV w.) i od pojawienia się tu pierwszych grup pasterzy wołosko-ruskich (XV w.) aż do I wojny światowej (1914—1918). Artykuł mówi o jednym z końcowych etapów zderzenia się tych dwu kultur (XIX w.), eksponując w świetle miejscowych pamiętników i innych dokumentów archiwalnych kilka specyficznych problemów, właściwych zresztą prawie całej ówczesnej „powiatowej” Galicji. Są to: nędza Galicji, częste epidemie, gusła i zabobony, galicyjska oświata, opiekunowie ludu oraz wieś jako szkoła współzycia¹.

NĘDZA GALICJI. Dola karpackiego zaścianka niewiele różniła się w owe czasy (po 1848 r.) od doli każdej innej wsi w Galicji. Panująca tam nędza ciągle jak upiór wraca we wspomnieniach miejscowych pamiętnikarzy, często z gorzkimi uwagami pod adresem wygodnie żyjących

¹ Podajemy tu kilka objaśnień. Głównym źródłem naszych informacji są miejscowe archiwalia, zachowane w dość dobrym stanie w Archiwum Parafialnym w Dobrej koło Limanowej (APD/L), oraz pamiętniki tutejszych mieszkańców. Pamiętniki te powstały w roku 1952 w wyniku ogłoszonej przez autora ankiety na temat „Moje wspomnienia” (skrót M. wsp.). Jest ich 33, ale tylko niektóre zostały tu wykorzystane. Należą do nich pamiętniki: nr 4 — Marii Łukasik, bezrolnej z Dobrej; nr 5, 16 i 20 — Marii Przybytek, bezrolnej z Dobrej; nr 7 — Marii Myszy, małorolnej z Dobrej; nr 8 — Antoniego Brzenia, stolarza z Dobrej i jego matki Marii, małorolnej z Chyszówek; nr 9 — Anieli Janik, żony robotnika z Dobrej; nr 13 — Marii Chochół, małorolnej z Zadziela, nr 15 i 32 — Józefa Łaskudy, małorolnego z Jurkowa, nr 25 i 29 — Jana Gizy, małorolnego z Dobrej.

panów. Zbyt wielka była bowiem przepaść między stopą życiową ówczesnego pana i chłopą.

„W owym czasie w Sądecczyźnie — pisze em. sędzia, szlachcic Jan Sitowski — było siła szlachty; prawie w każdej wsi znajdował się dwór, a były i takie wioski, w których dwóch, trzech, a nawet czterech obywateli rezydowało, np. w Siekierczynie, Męcinie i w. i. W dniu targowe (wtorki i piątki) zjeżdżało się do Nowego Sącza obywatelstwo, prawie z całej okolicy [...]

Szlachta bawiła się w te dni targowe znakomicie, — pełno było obywateli w cukierniach: Obrechta i Webera; w sklepach: Kosterkiewicza i Milera; we winiarniach: Ehrlicha (u Jazowskiej), Landaua, Herbsta i Dormana (Laptuli). Wtedy było za co się bawić i wino węgierskie morowo popijać, albowiem za parę, tj. za korzec pszenicy i korzec żyta, płacono około 27 zł w. a. [waluty austriackiej — E. W.], a robotnikowi polnemu płacono się za dzień około 25 centów, pracował zaś od rana prawie do nocy; czeladź niewiele kosztowała. Furman do koni brał rocznie około 25 zł w. a., kucharce płacono na rok około 12 zł w. a., dziewce od krów około 10 zł w. a., a pastuchowi około 6 zł w. a., a podatki nie były wysokie.

W karnawale odbywały się w Nowym Sączu świetne bale i zabawy prywatne. Na bale zjeżdżało się obywatelstwo okoliczne, przeważnie czwórkami [...] Także w Limanowy bale miały wielki rozgłos [...] Nie mogę pominąć i hucznych zabaw, które odbywały się u Seweryna Głębockiego w Mordarce w dzień jego imienin (8 stycznia) tudzież pikników rokrocznie we dworze Mordarskim urządzanych [...] Zabawy kipiały tu życiem i trwały do drugiego dnia. Przy dobrej orkiestrze Domitrów z Łososiny Górnej tańczono gładko i dziarsko, zamaszycie i siarczyście; od zwawych hołubców młodzieży aż zwracała [tu tyle co wnętrzości — E. W.] się trzęsły, a podłoga jęczała”².

Inaczej niż „szlachetnie urodzonemu” sędziemu z Nowego Sącza układało się życie chłopom.

„Życie chłopów w Dobrej i na Gruszowcu — pisze pamiętnikarz Antoni Brzeń z Dobrej — było twarde i bardzo skromne. Mieszkali w dymnych chatach, tzn. że [...] miał takie paleniska, zwane nalepami, i ten dym się rozchodził po całym mieszkaniu i z tego powodu ściany mieszkania były malowane na czarno, a nie na biało. A pożywienie chłopów to się składało przeważnie z owsa. Owies mełli w młynach. Owies trzeba było dobrze ususzyć, żeby te łupy się stary i żeby było więcej [...] Z takiej osypki ościastej gotowali kasze i piekli placki. A jedli te kasze z makiem, a placki ze żurem owsianym albo z tak zwanym po dawnemu galasem z gruszek czy z jabłek, albo z śliwek, jak kto miał. A smakowało im to lepiej, jak panom najlepsze przysmaki. Cukier i kawa to był luksus. To było dla panów. A nawet na święta nie można było sobie na coś lepszego pozwolić”³.

Nie wszystkim jednak chłopom wiodło się równie ciężko. Zamożni gazdowie mieli się stosunkowo dobrze. Gorzej było zagrodnikom, a najgorzej chałupnikom, komornikom, a szczególnie służbie.

² J. Sitowski, *Wspomnienia z Sądecczyzny sprzed około 40 laty*, wyd. 2. Mordarka, Kraków 1916, s. 3—5.

³ M. wsp. nr 8, s. 2—3.

„Sąsiad nieboszczyk Jordan, jak jeszcze był chłopakiem [...] służył u bogatych gospodarzy. Więc opowiadał, jak to było u tych bogaczy, jak służący był za nic, jak robić kazowali dużo, jeść mało co dali. Opowiadał, jak na święta przysposabiali piece [do pieczenia chleba — E. W.]. Mieli takie duże, co 12 i 15-ścioro chleba wsadził naraz, to piekli zawsze 3 razy: najpierw owsiane placki na wilią, potem chleby światłe, potem kołacze (3-ci piec). Ale służącemu dali tylko w pierwsze święto tego chleba i kołacza kawałek. W drugie święto już dla służących gotowali kasze, a to co napiekli, to jedli swoi, a jak się zepsuło, to zjadły świnię.

To znów o służbie opowiadała Kundzia Rybkówna, matka Walka Rybki. Ona, kiedy była młoda, służyła za dziewczkę u nas na osiedlu u Chalcarzów, kiedy oni byli młodym małżeństwem. Właśnie w ten rok urodził się im pierwszy syn. Więc wszystkie jej krewne i siostry i koleżanki przychodziły oglądać jej syna i przynosiły — jak to zwyczaj — radośniki, tj. różne dobre ciasta, buchty albo kukielki duże, kupione na zamówienie w piekarni. Wszystkie się sadziły, jedna ponad drugą, tak że niosły, mówiła Kundzia, tego pieczywa bardzo dużo. Ale tylko w ten dzień, jak to dziecko chrzcili, jak ci kumotrowie i kumoszki siedzieli koło stołu, a Kundzia i ta druga, co służyła, pasterka, dostały po kromce tego białego ciasta. A było to w maju. W polu było już pierwsze okopywanie ziemniaków. Więc gospodyni ugotowała rzadką kaszę na śniadanie i jeszcze rozcieńczyła zbieranym mlekiem. Kundzia i pasterka pochlipały i poszły: pasterka z bydłem, a Kundzia kopać. I mówiła, że nie mogła kopać, bo się jej ta rzadka kasza chleptała w żołądku. A kukielki i buchty trzymali w komorze. Myśleli, że poradzą sami zjeść. Ale gdzieżby. Słodkie ciasta się wnet psują. Tak kiedy im te ciasta zapleśniały, to gospodyni wyniosła świniom. A Kundzia ujrzała i wadziła się bardzo z gospodynią, że ona kopała głodna. Nie dali jej, chociaż mieli i popsuło się tyle dobrego ciasta. I teraz świnię żreją”⁴.

Głodzona nieraz i do ciężkiej pracy poganiana służba używała niekiedy różnych forteli, aby głód zaspokoić.

„Za naszych dziadków u jednej z bogatszych gospodyń gospodarz młócił na boisku ze służącym parobkiem, i przyszedli do obiadu. Gospodyni podała obiad na jednej misce, bo taki był zwyczaj, ale przed gospodarza nakładła ziemniaków dobrze omaszczonych, a przed parobka jałowych. Parobek od razu widział, że przed gospodarzem ziemniaki omaszczone, a przed nim jałowe, i myśli sobie: to ja na boisku więcej robię, jak gazda, i będę jadł jałowe? Jakby tu zrobić, żeby tę miskę obrócić?

I pyta zaraz gosposię:

— Gosposiu, kielasście tyz dali za tę miskę?

— Dwanaście centów — mówi gosposia, bo miska była gliniana.

— Dwanaście centów? — mówi parobek — to bardzo warto. — I wziął miskę za kraj, niby to że ją chce obejrzeć dookoła. I obrócił tak, że omaszczone ziemniaki przyszły przed niego. I tak zjedli obiad, ale gosposia już więcej tego nie robiła”⁵.

Nieco lepiej było służbie na gospodarstwie plebańskim, jednym z kilku przodujących gospodarstw w tutejszym rejonie. Głodu tu służba

⁴ M. wsp. nr 20, s. 28—32.

⁵ M. wsp. nr 20, s. 32—34.

w owym czasie nie cierpiała, ale zarobki były i tu, jak zresztą wszędzie, dość niskie. Mówi o tym m. in. cytowany dokument ⁶:

Zestawienie dochodów i rozchodów plebanii w Dobrej za r. 1846

Dochód pro sacerdot. Anno 1846

Accidens kościelny (posługi duszpasterskie)	1548 fl. 47 cent.
Za zboże	1320 „ 35 „
Ex sacra campanula et offertis (podzwonne)	132 „ 49 „
Z gospodarstwa	53 „ 20 „
Dziesięciny	17 „ 3 „

Summa: 3072 fl. 34 cent.

Rozchód pro sacerdot. Anno 1846

W gospodarstwo wydałem	1516 fl. 42 cent.
Za wino itd.	396 „ 8 „
Do kuchni	337 „ 59,5 „
Służącym	222 „ 24 „
Robota w polu (sezonowa)	92 „ 42,5 „
Wikaremu	250 „ — „
Organiście	50 „ — „

Summa: 2865 fl. 56 cent.

Służyło wtedy na plebanii 8—9 osób. Z tych gospodarz i gospodyni otrzymywali po 30 fl. rocznie, dodatek w naturze i pełne utrzymanie. Jako dodatek otrzymywał gospodarz: cztery koszule, troje gatek, nowe buty i podszycie na rok, oraz 2 fl. 30 c. kolędy. Natomiast gospodyni: buty i mały podarunek. Reszta otrzymywała — prócz pełnego utrzymania — od 15 do 20 florenów, a jako dodatek: zwykle buty oraz po 15 łokci płótna zgrzebnego i pacześnego, a poza tym kolędę i niekiedy mały podarunek, „gdy będzie wierny (a)“.

Roczna „zasługa” była wypłacana zazwyczaj ratami według doraźnej potrzeby, głównie na zakup odzieży. Nabywano wtedy katanki, spodnice, chustki, gorsety, koronki, dymkę, koszule, zapaski, kołnierzyki, płaszcze, buty, sukno, górnice, krypcie, fartuchy, kożuchy, perkale, gatki, czapki, kapelusze, rzemienie, kamizelki, sukmany itp. Żądano też pieniędzy na zakup obrazów religijnych od wędrujących kupców włoskich, elementarzy, pijawek i innych leków, tabaki, na wsparcie dla ubogich, na pomoc dla rodziny, na urządzenie chrzcin czy wesel, na koszta pogrzebowe itd. Żonaci gospodarze czy parobcy dorabiali sobie służbą na podtrzymanie własnej lichej gospodarki, zakupując ziarno na siew lub jakąś sztukę z inwentarza żywego, a nawet opłacając oracza ⁷.

⁶ *Expensa ad famulitium domesticum pertinentia ab anno 1843*. Notatnik prowadzony przez ks. Jakuba Janę. APD/L — R 5, akta nr 31.

⁷ *Ibidem*.

Zarobki służby były kilkakrotnie niższe od wynagrodzenia pracowników umysłowych: organisty-nauczyciela (50 fl.), wikarego czy plebana (200—250 fl. rocznie), nie mówiąc już o oficjalistach dworskich, a tym bardziej o miejscowym dziedzicu czy o innych obszarńnikach w okolicy: Wodzickich, Pieniżkach, Pruszyńskich itp. Zarobki służby były sumiennie przez Janę wypłacane. Czy służba ta dobrze się czuła pod jego „mocną ręką”, można w to wątpić. Fakt, że w ciągu 15 lat (1844—1859) przeszło przez plebanię aż 90 osób czeladzi, nie świadczy o zbyt wielkim przywiązaniu służby do gospodarza.

Pod tym względem o wiele lepiej przedstawiały się stosunki na plebańskim folwarczku za następcy Jany — plebana Bogusza.

„U nas na plebanii — pisze pamiętnikarka Maria Przybytek, streszczając wywody wyrobnika plebańskiego Jędrzeja — [...] grunta się ciągnęły aż do gościńca do Porąbki. Krów chowali bardzo dużo. Gospodyni była taka zapobiegliwa, że przez lato zawsze nazbierała, narobiła duże beczki sera, serwatką zaś wypasała wieprze i czeladzi też dawała serwatkę. Do pola wynosiła chleb ze słoniną albo z wędliną, i jak było gorąco, to wynosiła serwatkę do picia, żeby ludzie nie pili wody.

Jedzenie dla czeladzi i najemników podawała gospodyni nie na miskach, tylko w szafliczkach. Robione były te szafliczki z drzewa, tylko że nie miały tych uszu do góry, jak cebrzyk, i pobite były mosiężnymi obrączkami i bardzo czyściutko wyszorowane. Jedzenia nagotowała dużo i dobrze omaściła słoniną. I ludzie przy robocie, ani też czeladź, nie byli głodni”⁸.

Trudno dziś dociec, jak się czuła służba w tutejszym dworze. Byli to podówczas przeważnie robotnicy leśni i tartaczni. Ich los — jak wszędzie w Galicji — nie był do pozazdrosczenia. Nie zawsze im na słoninę starczyło. A bywały czasy, że nie tylko im, ale i całej tutejszej ludności nawet zwyczajnego chleba czy najpospolitszego pożywienia brakowało. Były to czasy szczególnego nieurodzaju, a zatem i głodu. Nazywano je tu „głodnymi latami”.

„Nazwa głodnych roków trwa po dzień dzisiejszy — stwierdza Józef Łaskuda — ale był to nie tylko czas głodu, lecz i nie żyzny, gdyż głodny jadł bez upamiętania, czyli wymiotował, a jeszcze był głodny i jadł. A kiedy się wreszcie nasycił, wtedy umierał. W latach tych można było spotkać byle gdzie zmarłego z głodu. W Dobrej, w osiedlu Kiwaje, rosły przy płocie leśniczego pokrzywy. Pewna żebraczka z Kasiny Wielkiej narwała sobie tych pokrzyw, z których miała sobie przyrządzić jedzenie. Ale na nieszczęście napadł na nią jakiś mężczyzna, tak samo żebrak jak ona, i zabił ją na tych pokrzywach, zabierając je dla siebie. Opowiadanie to słyszałem z ust Marii Świstak z Chalcarzów, urodzonej w roku 1853”⁹.

„Opowiadała mi Maria Milek z Jurkowa, licząca obecnie (1952) 79 lat, co słyszała od swej babki — relacjonuje podobny wypadek lub inną wersję poprzedniego

⁸ M. wsp. nr 20, s. 34—36.

⁹ M. wsp. nr 32, s. 14—15.

Aniela Janik — że w Pólrzeczkach w lesie w głodne lata nazbierała dziadówka pół koszyka pokrzyw. Na to nadszedł dziad i zabił dziadówkę, a pokrzywy zabrał. I odtąd ta część lasu nazywa się «na Dziadówkę».

Gdy brat i siostra jechali w las grabić liście, matka dała im jako całodzienny posiłek po jednym karpiele i po cztery ziemniaki surowe. Tam sobie w lesie piekli. Na nieszczęście zgubił się w drodze jeden karpień i bardzo się o to kłócili, bo siostra posądzała brata, że w drodze karpieła zjadł.

Na folwarku w Jurkowie do Miłków przyszedł dziad. Gospodyni dała mu kawałek owsianego placeka. Dziad wyszedł i usiadł pod jabłonią, jedząc placek. Za chwilę przyszedł drugi dziad i znów dostał kawałek placeka. Wyszedł pod jabłoń, by placek spożyć, i zobaczył pierwszego dziada, który z resztą placeka trzymanego w ręce umierał, nie wiadomo z jakiej przyczyny. Drugi dziad usiadł koło niego, wyjął mu placek z ręki, a kiedy ten umarł, mając jeszcze w ustach zmamlanego odrobiny placeka, ten wyjął mu palcem placek z gęby i zjadł.

Bogatsi ludzie żywili się w głodne lata mięsem z zabitego bydła, kukurydzą, którą wozili lub nawet nosili z Węgier. Jeździli też do Przemyśla wozami po kukurydżę, a czasem jak trafiło i zboża kupili. Biedniejsi wiosną jedli pokrzywy, lebiodę i jeszcze jakąś trawę, która teraz nie rośnie; a zimą placek z owsa i kolanek ze słomy, które przy żnięciu sieczki w skrzynkach, że były cięższe, odpadały”¹⁰.

A oto relacja o głodzie na Gruszowcu po roku 1846, podana przez autentycznego świadka, Macieja Jordana z osiedla Brogi (nr domu 30), spisana przez jego wnuczkę Marię Brzeń z Chyszówek:

„Jak ten głód nastąpił, to tyle głodnych szło, że nie można było każdemu jeść dać, a tym bardziej przy gościńcu, jak na Gruszowcu. Gościńcem szli z daleka. Zresztą nikt żywności dużo nie miał, każdy ledwo co żył. Toteż głodni padali z wycieńczenia. Często można było znaleźć we fosie umarłego albo bardzo osłabionego z głodu.

Nie tylko podróżni i żebracy padali z głodu, bo i gospodarze też głodowali. Trafił się w tym czasie na Gruszowcu bardzo przykry wypadek. Miał jeden gospodarz dwanaścioro dzieci i taka była na niego bieda — bo jak przy tylu dzieciach — że nie było już nic do jedzenia. A było to w Boże Przemienienie 6-go sierpnia. Rok był spóźniony, że zboża jeszcze zielone i ziemniaków nie było. Starsze dzieci poszły na poziomki, borówki i trznie i jakoś sobie zaspokajały głód. Ale był najmłodszy chłopczyk w domu, co się nie zadowolił jagodami, tylko chodził za matką i ojcem i płakał:

— Dajcie mi jeść...

I tak całymi dniami krzyczał, aż się ojciec rozgniewał i porwał tego małego za nogi, i uderzył nim — a raczej jego główką — o ścianę, chcąc go zabić, ażeby się więcej nie darł poza uszy. Ale go ta przecież nie zabił, tylko się chłopczyzna tak zataiła, że już przestał płakać. Później ojciec się opamiętał. Wziął sobie w rozpacz, co zrobił. I przysłała matka z pola. Widzi, co się stało, i zaczęła strasznie płakać i lamentować:

— Co on to zrobił...

I zaczęli chłopczyznę trzeźwić zimną wodą. Ojciec poszedł do mojego dziadka i opowiedział mu z płaczem, co zrobił. A dziadek mój zalem zdjęty mówi mu:

¹⁰ M. wsp. nr 9, s. 13—15.

— Czemus nie przyszedł pierwej, tylko takie zbrodnie z dzieckiem wyprawiasz?

Zaraz zrychtował dla chłopczyka lekkostrawny posiłek. Miał mój dziadek taki zwyczaj, że nagotował owsa w kotle. Później ten owies suszył i zmeł w młynie. I z takiej mąki bez gotowania rozmieszał w mleku albo we wodzie taką mieszanekę i na prędcie bardzo głodnych ratował. I ten chłopczyk, gdy przyszedł do siebie, pożywił się tą kaszą. Prócz tego dziadek, co mógł, dał temu ojcu żeby jakoś dożył do zbiorów. I dał Pan Bóg, że ten chłopczyk żył i wyrósł. Służył przy wojsku i był nawet oficerem”¹¹.

Stanisław Szczepanowski, pisząc swą głośną *Nędzę Galicyi*, widział ją przede wszystkim w złym stanie gospodarki krajowej. Miał pod tym względem całkowitą słuszność. Szkoda tylko, że nie dostrzegał należycie chłopskiego dna tej nędzy, zwłaszcza w karpackich zaściankach¹².

„MOROWE POWIETRZE”. Prócz głodu były i inne plagi, które od czasu do czasu niepokoiły tutejszą ludność — epidemie. Zwykle były to epidemie tyfusu, czerwonki i cholery.

W 1847 r. szczególnie dała się we znaki wszystkim czerwonka. Na naszym terenie zebrała ona wtedy olbrzymie żniwo. Liczba zgonów, która wynosiła w roku poprzednim 171 wypadków, zwiększyła się obecnie o 589, osiągając niebywałą liczbę 760 wypadków. Ponieważ cała parafia liczyła wtedy 5051 mieszkańców, więc ubytek parafii wynosił aż 15⁰/o¹³. Miejscowa kronika parafialna zanotowała jeszcze pod 1848 rokiem:

„Choroba epidemiczna z przeszłego roku trwała aż do 13-go czerwca. Była gwałtowniejsza. Rzadko który z niej wyszedł, gdy zachorował. Zatem śmiertelność nadzwyczajna [była]. Umarło do tego czasu 226 [osób]”¹⁴.

W 1855 r. wybuchła znów cholera (*cholera asiatica*). Choroba ta opuściła ojczyzną deltę Gangesu już dość dawno, ale trzymała się przez długi czas Azji. Dopiero w XIX w. zaatakowała Europę, i to kilkakrotnie, po 1830 r. W Galicji, zarówno na pogórzu, jak i w górach, wystą-

¹¹ M. wsp. nr 8, s. 12—14.

¹² „S. Szczepanowski (1846—1900) — pisał Stefan Kieniewicz — pionier przemysłowienia Galicji, w głośnej książce pt. *Nędza Galicyi* ujawnił rozpaczliwy stan gospodarzy kraju i wskazał jako wyjście politykę inwestycyjną. Zbliżony sympatiami do stronnictwa demokratycznego był przecież Szczepanowski przede wszystkim solidarystą: dzieło odrodzenia Galicji składał w ręce tej samej warstwy ziemiańskiej, której rządowi przypisywał upadek kraju”. *Galicja w dobie autonomicznej (1850—1914)*, Wrocław 1952, s. 161, przyp. 1.

¹³ Zob. *Conspectus summaricus Mortuorum Parochiae Dobrensis. Index Mortuorum* w APD/L — L III/3. — *Notitiae Parochiales Ecclae Parochialis Dobrensis pro Anno 1846 ss.*, APD/L — P3 b.

¹⁴ *Liber memorabilium parochiae Dobra*. APD/L — L V — 1, s. 6.

piła na większą skalę w 1855 r. Zaraz też zwiększyła się śmiertelność na naszym terenie w stosunku do roku ubiegłego (167) o 266 dodatkowych ofiar, do ogólnej liczby 433 zgonów. W parafii mieszkało wtedy 4150 osób, czyli ubyło z niej 10⁰/o¹⁵. Miejscowy pleban zanotował tu następujące szczegóły:

„Z początkiem roku rozpoczął się wielki przednówek. Głód był dla uboższej klasy wielki. Wiele marło z głodu, a w ogóle jeżeli nie z głodu, to zawsze niedostatek żywności był przyczyną wszelkich chorób i śmierci. Aż wreszcie, gdy prawie wszędzie dokoła, w okolicy parafii naszej, cholera się szerzyła, poczęła się u nas dopiero w początku lipca i trwała aż do końca września. W początku była mocna. Kto na nią zapadł, w kilka godzin był już gotów [...] Co do lepiej się mających złośliwszą się ta choroba pokazywała i w krótszym czasie, jak ubogich, ze świata brała. Na cholere prawdziwą umarło 104 [osoby — E. W.]. Wiele było i takich, co choleryczne symptoma mieli, a potem w przeciągu 2, 3 i 4 tygodni na inną chorobę umierali”¹⁶.

Kronikarz wspomina też o dwu ofiarach cholery spośród miejscowej inteligencji: o księdzu i o lekarzu.

„Ks. wikary Józef Moskalski padł ofiarą cholery dnia 6-go lipca, w piątek, o godz. 9,30 przed południem. Od niedzieli 1-go lipca do czwartku wieczór zaopatrzył 13 chorych zapadłych na tę cholere. W czwartek był zdrowy, jeszcze kolacją zjadł [...] Będąc żywego i wesołego temperamentu, przy tym zawsze czerstwego zdrowia, nic się tej cholery nie obawiał ani nie pomyślał, aby mu śmiertelny cios zadać mogła. Po kolacyi — może upłynęła godzina — dostał rozwolnienie [...] wymioty, kurcze nadzwyczajne. Zsiniał ze wszystkim i zimny był jak lód. Rатовano go w tym momencie, ile można było, nim doktor z Limanowy przyjechał. Ta choroba, nim doktor przybył, trwała może 4 godziny. Zażądał mu różne lekarstwa. Raz był czerwony, drugi raz siny. Mowa ze wszystkim zmieniona. Oczy jakoby przy długiej chorobie zapadłe bardzo. Kurcze ustawały, lecz ból wewnętrzny był nadzwyczajny. Wszystko było daremne. Wydysponował się z wszelką przytomnością i z największą rezygnacją przykładowego i bogobojnego kapłana życie w 34 roku i 6-tym kapłaństwa [...] zakończył”¹⁷.

A oto relacja o śmierci lekarza:

„W czasie tej epidemicznie grasującej cholery był doktor od Rządu do Dobry na mieszkanie zesłany, aby chorych na cholere zapadniętych kurował. Przeszedł z Widnia. Po polsku nic nie umiał, przeto u mnie mieszkał. Przybył w sam dzień pokrzebu ks. wikarego, dnia 9-go lipca [...] Doktor, będąc słabowity, zasłał mocno dnia 1-go sierpnia — niby to typhus, jak inny lekarz twierdził — i dnia 4-go sierpnia w 54 roku życia swego przeniósł się do wieczności”¹⁸.

¹⁵ *Ibidem*, r. 1855.

¹⁶ *Ibidem*, s. 15.

¹⁷ *Ibidem*, s. 15—16.

¹⁸ *Ibidem*, s. 16.

W roku 1873 pojawiła się znów w tym regionie cholera, tym razem łącznie z ospą, ale przebieg obu tych epidemij był już łagodniejszy. Zanotowano wtedy 238 zgonów. W tym czasie zmarł na cholere pierwszą naczelnik poczty w Dobrej, Władysław Chrapczyński. Chorował zaledwie kilka godzin¹⁹.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w pamięci ludzkiej o wiele mocniej zapisują się ciężkie przeżycia i doświadczenia losu niż chwile przyjemne. Stąd też i nasi autorzy wspomnień poświęcili tyle uwagi opisom różnych klęsk żywiołowych, a zwłaszcza epidemii cholery z roku 1855. Autorzy dają przy tym nieraz wiarę różnym dodatkom o charakterze baśniowym czy legendarnym, jakimi fantazja ludowa lubi wzbogacać obiektywny przekaz historyczny. Niektórzy jednak traktują je w sposób krytyczny.

„Po głodzie, czyli po siedmiu latach — jak to starzy mawiali «głodnych rokach» — z niedożywiania powstały epidemie różnych chorób, jak cholera, tyfus i także jakaś łożnica czy łożnica. Jednak ze wszystkich najgroźniejsza była cholera, która zabierała dziesiątkami ofiar dziennie do tego stopnia, że zaprzestano grzebać w trumnach, ale grzebano tylko w pośmiertnej odzieży i bez ceremonij pogrzebowych [...]

Pewnego razu wieziono zmarłego skądś z Wilczyc na cmentarz do Dobrej, gdyż w tym czasie kościoła w Jurkowie jeszcze nie było. Przez przesąd ludzki zmarłych wożono tylko na bosych kołach, czyli nie kutych żelaznymi obręczami [...] Wtedy to dziwnym trafem górnicza [dzisiejsza marynarka — E. W.] zajęta została przez owo boscie koło do tego stopnia, że górnicza, czyli kikła, została skrecona koło piasty (ściskającej oś) koła, że posadziło zmarłego na nogi [...] Wtedy wiozący zmarłego narobił krzyku, że zmarły wstaje, ażeby go zadusić. I uciekł od wozu i wołów, bo właśnie wołami wioził na cmentarz. I tak się przejął tym wypadkiem, że zmarł w kilka dni, a trupa już do Dobrej dowiózł niejaki Jania Wincenty z Folwarku”²⁰.

Cholera szalała po wszystkich wioskach dawnego klucza dóbr Lubomirskich i Małachowskich i po całej okolicy.

„Tata mi opowiadali — zeznaje Maria Łukasik z Dobrej — jak na Wilczycach u Krzysztofa zawiązała się cholera. Było tam coś 60 ludzi na tym osiedlu, to wszyscy wymarli co do jednego. Przywieźli ich na cmentarz i kładli do grobu tak, bez trumien [...]

To znów na Gruszowcu u Krzysztofa wymarli ludzie co do jednego. Pochowali ich u Krzysztofa koło mostu. Tu jeszcze do niedawna znać było takie usute kopczyki [...]

Jeszcze chcę podać do wiadomości, że u Myconia w Dobrej panowała cholera na całym osiedlu, nawet i na innych osiedlach też. Powymierali wszyscy ludzie. Pozostał tylko jeden chłopczyk, mający trzy latka. Bardzo płakał, bo tylko był sam jeden. A ludzie z pobliskich osiedli nie szli tam, bo się bali, że się zarażą tą

¹⁹ *Ibidem*, s. 52.

²⁰ M. wsp. nr 32, s. 22—27.

chorobą. Dopiero po jakimś czasie odważył się mój dziadek pójść. Poszedł, zaglądnął przez okno, bo drzwi były zamknięte. A tam tylko chłopczyk płacze. Reszta wszystko leży. Wrócił się do domu, wziął kawałek placka ze ziemniaków, posmarówował masłem i zaniósł temu dziecku. A ponieważ było pozamykane, wybił okno i na tzw. osęku podał przez okno temu dziecku. Potem poszedł do Limanowej do krajsfizyka opowiedziawszy mu, co zaszło. Krajsfizyk zaraz przyjechał. Dali znać księżom i jakoś tych zmarłych pochowali. A tego chłopczyka wziął krajsfizyk do siebie i wychował go na dorosłego. A gdy wyrósł na dorosłego, wrócił się na to osiedle i był tam gazdą”²¹.

Inni pamiętnikarze podają tu jeszcze dodatkowe szczegóły.

„Z biedy i głodu przyszła cholera, na którą wymierały całe rodziny. Na cholere chorowali tylko trzy godziny, tak że człowiek wyszedł z domu i nie był pewny, czy wróci. I tak bywało, że nie wrócił. Szła do kościoła w niedzielę na sumę z Jurkowa Miłkowa. Spotkała się z Kolarskim od Pawłaka, który mówił, że idzie matkę pochować, bo umarła w nocy. A kiedy wyszła po sumie, leciał syn Kolarskiego do wujka. Spotkał się znów z Miłkową i mówił:

— Tata umarł. Idę, by wujek trumnę zrobić.

U Myconia wymarła rodzina Kasperkiewiczów, złożona z czterech osób. Trzy dni leżeli i nikt nie wiedział. Została tylko jedno trzyletnie dziecko. Ktoś usłyszał płacz dziecka i zaglądnął. Dziecko, zobaczywszy człowieka, zawołało:

— Papać dej. Wszyscy nynają...”²².

„Po tych całych rozruchach, rabunku i tej wojnie — stwierdza gazdyni z Chyszówek — nastał wielki głód i choroba zwana cholera. Ludzie padali od głodu, później od tej cholery, masowo. A przed tym głodem i cholera widywali ludzie na niebie jakąś gwiazdę z miotłą czy z mieczem i jeden stary chłop z Gruszowca tak gadywał do ludzi:

— He, he, he. Cosi ono będzie — albo głód, albo mór. Będzie nas ta gwiazda zmiatać tą miotłą czy tym mieczem ścinać. I spełniły się jego przepowiednie, bo wnet nastał głód i mór [...]

A po tym głodzie nastąpiła cholera. Doktorzy przepisywali różne lekarstwa, lecz nie każdego było stać na lekarstwa. Biedni się ratowali pokrzywami, ale dużo ludzi wymarło [...] Często i te lekarstwa nie pomagały. Był jakiś panek we dworze w Dobrej, co jak ta choroba nastąpiła, to sobie wszystkie te lekarstwa pokupił i miał przygotowane. Bo tak był bogaty, że miał za co kupić. I chwalił się przed chłopami u kościoła czy gdzie bądź:

— A niech się dzieje, co się chce. Ja już mam wszystko gotowe, ale ten biedny lud co pocznie? Wszystko wymrze jak muchy.

Wnet i jego wzięła ta straszna choroba i nie pomogły wszystkie lekarstwa. W 24 godzinach skończył biedny «bogaty» panek. A biedny lud wszystek nie wymarł, jak on to przewidywał. I długo sobie ludzie wspominali w żartach to jego niemądre powiedzenie.

Po tych wszystkich klęskach dał Bóg trochę dobrych czasów, mimo tego, żeśmy byli pod zaborem austriackim. Nastał na cesarza Franciszek Józef”²³.

²¹ M. wsp. nr 4, s. 25—27.

²² M. wsp. nr 4, s. 12—13.

²³ M. wsp. nr 8, s. 11—15.

Tym „dobrym czasem” stała jednak na przeszkodzie jeszcze duża ciemnota, zalegająca cały kraj, a szczególnie wieś i niziną, i karpacką.

MROKI ŚREDNIOWIECZA. Do ciekawszych przejawów kultury ludowej należą zwykle wierzenia, wróżby i czary, odnoszące się do świata ponadnaturalnego.

„Pojęcia o świecie ponadnaturalnym — pisze prof. Bystron — są bardzo złożone. Coś niecoś utrzymało się jako przeżytek dawnych wierzeń pogańskich, dużo pozostało z popularnych tradycji dawnego świata klasycznego, które rozmaitymi drogami, przez Bramę Morawską i przez Bałkany, ale nieraz także i drogą pośrednią, książkową, do ludu przechodziły; wszechmożnie zaciążyła tu oczywiście nauka chrześcijańska, i to zarówno oficjalna, kościelna, jak też i idąca wraz z nią, a bardziej do prymitywnej umysłowości dostosowana popularna wiedza, przez władze kościelne tępiąca czy tolerowana, zawsze jednak żywotna. Ostatecznie mamy do czynienia z kompleksem złożonym, w którym nie zawsze łatwo się orientować”²⁴.

Wierzenia spotykane u ludności mieszkającej na naszym terenie nie odbiegają na ogół zbyt od wierzeń ludowych z innych zaścianków karpackich, a nawet z dalszych okolic kraju. Niektóre z nich były już spisywane i drukowane, na przykład *O duchach, strachach i planetnikach, Duchy złych ludzi, Jak to chłopaka coś zwodziło, Planetnik, Zabiegi, wierzenia i zakazy magiczne, O ciałach niebieskich, Miary czasu, Przepowiednie pogody, Przysłowia o pogodzie*, itp.²⁵.

Są tu też znane różne sposoby wróżenia. Wróżyło się więc do niedawna na serio, a dziś dla żartu, ze znaków na niebie (kometa), ze zjawisk w świecie roślinnym (koniczyna czterolistna), z wyglądu człowieka (cień, ręka itp.), z zachowania się zwierząt (wycie psa, skrzeczenie sroki), z przypadkowego spotkania się z człowiekiem, zwłaszcza obcym, z kształtu lanych z wosku figur (wilia św. Andrzeja), ze snów, z kart itp.²⁶.

Lud tutejszy wierzył również w moc czarów i je praktykował. Były to „praktyki pozatechniczne, mające na celu oddziaływanie (pozytywne czy negatywne) na osoby czy rzeczy; wedle naszych współczesnych pojęć oddziaływanie to nie ma miejsca, ale człowiek posługujący się bardziej pierwotnymi formami myślenia skłonny jest uznawać związki tam,

²⁴ J. S. Bystron, *Etnografia Polski*, Warszawa 1947, s. 138.

²⁵ *Wieś Dobra w powiecie limanowskim. Wybór materiałów*, Kraków 1938, s. 45—51.

²⁶ Bystron, *op. cit.*, s. 136—138.

gdzie ich w istocie nie ma”²⁷. Ważną rolę odgrywa w magii czas, przestrzeń, słowo, liczba, osoba je wykonująca czy przez nie atakowana, przedmiot (roślina, rzecz poświęcona, zwłoki itp.), wreszcie sposób oddziaływania: bezpośredni (magia naturalna), pośredni (za pośrednictwem sił demonicznych), zastępczy (np. palenie czyjejs fotografii, aby zaszkodzić osobie na niej wyobrażonej) lub naśladowczy (np. kropienie wodą dla wywołania deszczu). Istnieje też szereg środków magicznych, stosowanych dla uchronienia się przed czarami²⁸.

Wierzenia, wróżby i czary były niegdyś na naszym terenie i na całym obszarze Karpat zjawiskiem powszechnym, mimo zwalczania ich przez oba kościoły: katolicki i prawosławny. Świadczą o tym wspomnienia naszych pamiętnikarzy. Oto, co pisze na ten temat Maria Łukasik, urodzona w roku 1866, a więc jeszcze za plebana Jany (teksty miejscami skrócone):

Uroki. „Pewnego razu ksiądz Jakób Jana wyszedł do pola do robotników, którzy siekli siano. Wtedy złapały go straszne bóleści, aż zsiniał. I jeden z robotników zza lasku przyszedł do niego i mówi:

— Jegomość, Jegomość! Co będziemy robić? To pewnie urok!

A ksiądz mu na to:

— E! Idź ty głupi! Uroków nie ma! To zabobony.

Ale ten nie usłuchał, tylko poszedł do jakiejś kobiety, która umiała zażegnawać. Ta dała wody do flaszczyki i kazała mu się napić trzy razy. Ksiądz, gdy się napił raz, trochę go przestało. Gdy się napił drugi raz, jeszcze lepiej go przestało. A po trzecim razie zupełnie bóle odeszły. Ksiądz się pytał:

— Co wyście mi dali?

A on na to, że medycyny.

Ksiądz się pyta, skąd tak prędko wzięli. Tak ten się przyznał, że to uroki zażegnane. Ksiądz podumał, a wreszcie mówi:

— Jednak uroki są [...] (to mój tata był przy tym obecny)”.

Czary. „Gdy się komu krowa nie chciała dobrze doić albo jej wymię spuchło, to narzekano na czarownice. A więc znów były takie, co odczarowywały. Różne ziółka gotowały i kadziły te krowy. I to pomagało. A ludzie, gdy jeden na drugiego miał jakąś złość, to szedł do Czarnego Potoka, aby mu zaszkodzić czarami. Wyzywali się też, jeden drugiego:

— Tyś czarownik! Przechodzisz mi drogę [...]

W wilię św. Wojciecha nie szedł nikt do nikogo, bo mówili, że idzie kogoś zaczarować. Jak komuś krowa chorowała, to już tam się wyzywali w osiedlu:

— A ty taki [...] Tylko czarujesz [...]

A jeszcze, gdy się wyszło wieczór na pole, to słyhać było na Kamieńcu czy na pasiece, jakby kto kijem walił. Więc mówili:

— O! Boginki czarujesz [...]

A gdy robili masło i nie chciało się zrobić, o — to już ktoś zaczarował [...]

²⁷ *Ibidem*, s. 131.

²⁸ *Ibidem*, s. 130—136.

Ktoś tam miał jedną krowę, a mleka dużo, to już czarownica. Komuś mleka odbiera, bo gdzieżby tyle mleka od jednej krowy miała [...]

A w wilię św. Luce [Lucji — E. W.], gdy ktoś przyjdzie, o — to patrzcie, żeby czego od chałupy nie wziął, bo to czarownik. Jak weźmie, to już na zawsze.

Gdy widzieli, że idzie czy to kobieta, czy mężczyzna, to kuli sierpami po gorącej blasze i przypisywali, że boli tego, co czaruje.

Jeszcze dziś trafiają się gdzieniegdzie tacy, co uważają, że gdy idą gdzie, a kobieta przejdzie drogę, to nie będzie się darzyło.

A gdy jedna panna drugiej zaszczepiła kwiatka, a później ten przestał rość albo usechł nie wiadomo z jakiej przyczyny, to się «popisnęło po niej». Ona zabrała kwiaty i to już na zawsze, bo uschły”.

Znachor. „A gdy kto chorował, to mówili:

— E! To czary! Idźcie do czarownika, to odczaruje.

Raz w Dobrej u Gorle była taka kobieta, co trzy lata na nogi nie stawała. Aż pewnego razu przyszła na nocleg jakaś biedna nieznana i nazajutrz, gdy wstali, mówi, żeby się leczyła. Dała jej adres do Węgier i kazała tam iść. Mówiła:

— W Czarnym Potoku też jest taki znachor, ale że to choroba zastarzała, więc ten nie potrafi jej wyleczyć.

Chłop (mąż) tej chorej, niewiele myślący, wziął jakieś pieniądze i placek na drogę, kij w garść i poszedł. Po tygodniu zaszedł na miejsce. Wszedł do środka i pyta, czy dobrze trafił. Znachor się pyta:

— A po cóżeście przyszli?

— Ano, stara mi chora [...]

Ten znachor poszedł do drugiej izby i tam komuś opowiadał o tym, pytając:

— Da się co z tym zrobić?

Wrócił się ten znachor do izby, do tego gospodarza, i mówi:

— Jeszcze się da uratować tę kobietę, bo ten czarownik, co ją zaczarował czerwoną szmatką, nie wrzucił jej do wody, tylko włożył do pniaczka z olchy za ławeczką. I ta kobieta tamtędy przechodziła, stanęła na tej szmatce i te czary jej się chwyciły. Kazał sobie dać trzy szóstki i wtedy dał mu jeszcze trzy gałeczki takie jak smoła. Te kazał tłuc i tym smarować.

Gdy zaczęli smarować tymi gałeczkami, za trzy dni kobieta całkiem wyzdrowiała”²⁹.

Jeśli już mowa o znachorze, to warto tu przytoczyć relację Marii Przybytek z Dobrej o innym znachorze, który miał udzielić jej szwagrowi Szymonowi dziwnej i ryzykownej porady celem zapewnienia mu powodzenia w czasie polowania.

„Razu pewnego nocował u niego taki wędrowny znachor i guślarz. Ten mu doradził:

— Trzeba przez 9 dni odprawiać gusła. Najpierw trzeba iść na jarmark i kupić czarny garnczek, zapłacić rażno bez targu. Potem złapać czarnego kota i całego — kości nie łamiąc — gotować przez 9 dni. I przez te 9 dni nie myć się, nie mówić pacierzy, nie iść do kościoła, do stołu nie siadać z rodziną i nie spać

²⁹ M. wsp. nr 4, s. 37—45. Zob. wypisy z „Siły tajemnej” w APD/L — R 9a (znachorstwo).

w tej izbie, gdzie sypia rodzina, tylko osobno. Nikomu o tym nie opowiadać. W dziewiąty dzień z rana iść ku oknu, wyjąć te kości z garnka i przez nie patrzeć do okna. Zaraz tam przyjdzie taki obcy człowiek i zapyta: czego potrzeba. Nie trza się bać, tylko opowiedzieć, czego chcecie.

Żona jego i dzieci, gdy zauważyli taką zmianę u ojca, bali się bardzo i w każdy wieczór, kiedy ojciec poszedł spać na górę i zabierał ze sobą ten dziwny garneczek, żona zabierała dzieci do izdebki i tam mieli taki duży obraz Matki Boskiej Gidelskiej, i przed tym obrazem odmawiała z dziećmi cząstkę różańca na jego intencję.

W dziewiąty dzień, kiedy ojciec zaczął rano patrzeć przez te kości do okna, żona patrzyła na niego. Patrzy, a ten coś ujrzał, rzucił te kości i ze strachem wielkim zaczął się cofać od okna. Upadł na ziemię i oganiał się przed czymś, czego ona nie widziała. Żona porwała zaraz święconą wodę i kredę. Zaczęła kropić i kredą go opisać. I widzenie znikło, ale długo nie mógł odzyskać przytomności. A kiedy odzyskał, pytali się go, czego się przeląkł.

Opowiedział im, że kiedy zaczął patrzeć przez te kości do okna, to zaraz z krzaków, z górki, co jest naprzeciw jego domu, z trzaskiem wielkim wyjechało siedmiu Panów czarno ubranych na czarnych koniach i jechali prosto na niego [...] i pytają, czego od nich potrzebują. Potem już nie wie nic, bo stracił przytomność. Kiedy już wyzdrowiał po tygodniu choroby i szwagier Wojciech przyszedł do niego zapytać o zdrowie, tak Szymon powiedział:

— W Boga wierz, dobrze mierz, to będzie zwierz”³⁰.

Znany wątek baśniowy o „czarnoksiężskiej książce” znajduje u naszej pamiętnikarki następujący wyraz i oprawę:

„Raz zdarzył się taki wypadek, będzie temu więcej jak 20 lat. Krzysztofiak był jeszcze nieżonaty i pracował z ojcem swoim nieboszczykiem w tartaku u dworu. Ojciec jego był palaczem. Przedtem Krzysztofiak młody pracował jakiś czas w Zakopanem i stamtąd przywiózł książkę czarnoksiężską i czytał zawsze tak, ażeby ojciec nie widział. Dlatego z roboty wracał zawsze pierwszy, ażeby nim ojciec wrócił, mógł sobie poczytać. I raz, kiedy przyszedł pierwszy, zjadł wieczerzę, rozebrał się i zaczął czytać książkę [...] Ojciec widział przez okno, że on czyta, i zaraz od progu zaczął mu grozić pięścią, mówiąc:

— Dasz ty spokój tej książce czy nie?

I szedł wybić syna. Syn się porwał z łóżka, bo widział co innego. Nie widział ojca, tylko widział, że do izby weszło siedmiu Panów w cylindrach na głowie, a nie byli równego wzrostu. Pierwszy był mały, drugi większy, a ostatni jak dorosły człowiek. I mówili do niego wszyscy wraz:

— Dasz nam ty spokój czy nie?

I szli go bić. I on wyskoczył z łóżka i zaczął ich bić i kopać nogami, a oni na niego. On bije i bije. Matka rozgania, jak może, aż przyszła sąsiadka i zaraz zrozumiała, co się stało, bo wiedziała, że czyta czary. Porwała święconą wodę i różaniec. Zaśpiewała: «Kto się w opiekę» i Panowie uciekli. Syn ujrzał, że bije ojca i puścił go.

Na drugi dzień żaden nie poszedł do roboty, bo stary był zbity, a młody chorował z przestraszu [...] Ale już więcej nie czytał tej książki”³¹.

³⁰ W. wsp. nr 5, s. 68—72.

³¹ M. wsp. nr 5, s. 149—151.

Obawa przed czarami skłaniała ludzi do tropienia „czarowników” i „czarownic” nawet w swym najbliższym otoczeniu:

„Czarownice poznawano po tym, że nie chodzą na procesję po Zmartwychwstaniu Chrystusa, tylko zostają w kościele [...] W św. Łucję przychodziły czarownice pożyczać różne rzeczy, więc nie dawano nic z domu. Też jak się krowa ocieśliła, nie dawano nic z domu. Dawniej chodziło wielu czarowników. Zwłaszcza czarowali młynarzy: wprowadzali szczury do młyna. Było ziele, zwane «przestęp», które ściągało mleko od krów z 12 miedz. Czarownice handlowały «przestępem». Było to ziele podobne do karpia³².”

Czarownice, znachorzy, planetnicy, czarne ptaki, boginki itp. pojawiają się kilkakrotnie w tutejszych pamiętnikach. Píše o nich również Aniela Janik.

„Często czarownica zabierała sąsiadce mleko. Znachor Bulanda doradzał wtedy, aby na środku izby rozpalić ognisko, w nim do czerwoności rozgrzać trzósło od pługa i po nim lać mleko, to przyjdzie ta, która czaruje. Gdy tak zrobili, przyszła i już u progu zaczęła prosić:

— Sąsiedzie, puśćcie mnie, nie przypalajcie [...]

A on lał i lał mleko, aż mu brakło cierpliwości. Złapał powróż i bił po babie, ile wlało. I odtąd miał mleko.

A jedna miała coś w piwnicy, co temu zawsze mleko nosiła do picia. A od tej piwnicy miała kawał lejca, co doła z niego mleko, ile chciała”.

Planetnicy. „Byli też i planetnicy. Razu jednego przyszedł taki planetnik w Pólrzeczkach do Matacza i prosił o jedzenie. Ale mu tam nie dali, jeszcze wyprzezywali. Więc poszedł do Króla. Tam go przyjęli. Jeść dali. Był bez kapelusza, z rozwianą czupryną. Gdy pojadł, wyprowadził gospodarza nad potok. Kazał ułamać wierzbowych patyków, okłupić i pozatyczać na rogach swoje kawałki pola, co też ten uczynił. A planetnik odszedł dalej w kępę, gdzie kamienie zsypywali. Tam obniżyła się smuga mgły, tak że kępę zakryła. Za niedługo nie było mgły ani planetnika. A za chwilę wyszła na niebo chmura. Spadł grad i zniszczył po Pólrzeczkach, a najwięcej Mataczowi. A oznaczone kawałki zostały nietknięte”³³.

Zażegnysz chmur. „Był tu jeden przewodnik na Kalwarię. On też chmury zażegnawał. Prosił go sąsiad, aby go nauczył zażegnawać i odżegnawać. Ale ten rzekł:

— Nauczę cię tylko chmury rozpędzać, boś ty człowiek mściwy, to byś choć komu krzywdę zrobił, a ja bym na tym cierpiał.

— Proście ludzie Boga, abym nie umarł w tej parafii — mawiał.

I jak szedł na Kalwarię, na Wiśniowy umarł i przez pięć lat bardzo tam grady biły, że ludzie bardzo głodowali”.

Korony z «inkluzem». „Były też i korony z «miklusem». Taka korona [moneta — E. W.] zawsze się wróciła do właściciela. Taką koroną posiadał Michał Łaskuda z Jurkowa. Gdy był młody, pojechał z deskami do Bochni i tam ją przygrze w karty ukradł. Innym sposobem nie chciała się człowieka trzymać. Taki

³² M. wsp. nr 7, s. 4—5.

pieniądz można sobie samemu zrobić tym sposobem, że przez 9 dni nie trzeba się myć, ni mówić pacierza, ni do kościoła iść, ni o Bogu myśleć, a pieniądza w bucie pod piętą nosić i nie można butów zdejmować; to się diabeł zawiąże”.

Czarny ptak. „Było to jeszcze przed ks. Boguszem, gdy babka mojej teściowej — notuje w dalszym ciągu Janikowa — pasła krowy, będąc 12-letnią dziewczynką. Zaganiała wtedy bydło do domu, gdyż deszcz lał i znalazła na drodze czarnego mokrego ptaka. Wzięła go i zaniosiła do domu. Położyła za piecem i posypała garstkę pszenicy, by się posilił. Gdy wstali rano, za piecem było wysypane ćwierć pszenicy i ptak stał w niej. Ludzie się przelękli i poszli do księdza [...] Ksiądz kazał w ciemną noc wyrzucić za okno ptaka i do jednego ziarnka pszenicy za nim. Gdy tak zrobiono, rano pod oknem ani jednego ziarnka nie było”.

Chłopczyk na jodle. „Maria Miłek pasła bydło z dwoma chłopakami. Było to w święto Matki Boskiej Zielnej. Chłopcy w czasie sumy bardzo rzucali kamieniami na dużą jodłę i tak ją zranili, że kora zaczęła odpadać. W pewnej chwili zobaczyli wszyscy troje na tej jodle chłopczyka może 3-letniego w czerwonym ubraniu. Chłopczyk ten wyjmował z kieszeni kamienie, ale tak duże, że ona by nie bardzo uniosła, i rzucał na nich z szybkością. Przelękli się wszyscy, zapędzili bydło i uciekali do domu”.

Boginki. „Chodziły też boginki. Najwięcej czyhały na chore położnice. Przychodziły pod okno i wołały chorą po imieniu. Zmieniwszy głos upodobniły go do głosu sąsiadki. Gdy chora usłyszała na śnie, że ją wołają, wstawała i szła, a one ją porywały lub wprowadzały w chorobę jeszcze większą. A gdy taką porwały, to wołały na nią:

— Ułomka, ułomka, trzymaj się dzwonka (inaczej dziurawca).

Gdy przechodziły przez miedzę, a ona chwyciła się dzwonka, to ją odstępowywały i uciekały z chichotem”.

Pokutnica. „U Pawlaka w Dobry była kobieta, która widocznie pokutowała. Siadywała koło kapliczki starej. Dużo ludzi ją widywało, a nawet czasem komuś na wóz wyskoczyła, gdy tamtędy przejeżdżał. Tak też zdarzyło się Zawadzcie z Jurkowa, który ją wiozł aż do swego podwórza. Ksiądz radził ludziom nic się do niej nie odzywać, gdy ją kto zobaczy”³³.

Cytowany już poprzednio Józef Łaskuda, ur. w 1898 r. w Jurkowie, pokusił się w 15 lat po rozpisaniu ankiety pamiętnikarskiej o napisanie na ten sam temat własnego opracowania. Jest to jego *Opis dziejów od czasów pańszczyzny*. Autor stara się być krytyczny i dlatego np. jego uwagi o miejscowej magii nabierają szczególnego znaczenia.

Uroki. „Co do «uroków» zawsze do nich odnosiłem się w sposób sceptyczny i nieraz ze drwinami i pogardą, aż odczułem je na własnej skórze. Kiedy pewnego razu w czasie podwieczorku przyszła do nas pewna, już nieżyjąca, osoba i kiedy się zadziwiła temu jedzeniu, zaraz odczułem ból w żołądku i kiszkach, który się wzrastał z każdą minutą. Był to ból, prawie mówiąc, straszliwy, sam

³³ M. wsp. nr 9, s. 28—35.

jednak nie wiedziałem, co to jest. Jednak żona po ziewaniu poznała, że to uroki. Wtedy posłano po sąsiadkę, która przez wymawianie jakichś modlitw nad garnuszkiem wody i polecenie wypicia tej wody sprawiła, że ból ustał prawie momentalnie”.

Urzekanie. „Dawniej nie można było każdemu dać oglądać bydła w stajni ani świni w chlewie, gdyż się znów «pśniło», to znaczy, że się po tej «wizycie» nie darzyło i bydło albo bodło ludzi czy też w stajni samo pomiędzy sobą, albo gryzło rozmaite stare rzemienie i buty, albo szmaty i wszystko, co było z płótna. Świnie zaś nie jadały podawanej im paszy, tylko gryzły kamienie, drzewo, ziemię i glinę, ale to powoli zaczyna ginąć”.

Wróżenie. „Było to w roku 1924/25, gdy po odbyciu służby wojskowej wróciłem do domu u Wątora. Zastałem tam niejaką Karolinę Kowalską ze Skrzydlnej, która cośkolwiek tam pomagała, a zaś w chwilach wolniejszych zajmowała się wróżeniem z kart. Za to jej płacono pieniędzmi, zbożem, jajkami, a niektórzy nawet mięsem i słoniną. Chodziło do niej wielu ludzi, a także moich kolegów. Wreszcie przyszła kolej i na mnie, do czego prawie że mię zmuszono. Ja wówczas byłem prawie że niedowiarkiem, więc też ową wróżbę przyjąłem z lekceważeniem i śmiechem. Otóż owa wiedźma przepowiadała mi, że w domu rodzinnym nie zostanę, ale ożenię się w sąsiedniej wsi, że będę prowadził procesy przez długi czas, że żoną moją będzie blondynka z oczyma niebieskimi i że w końcu zostanę wdowcem. Proszę sobie wyobrazić, że rzecz ta przepowiadana przed 32 lata spełniła się w całości, jakkolwiek nie wierzę w zabobony”³⁴.

Podobnych relacji o miejscowych wierzeniach, czarach i wróżbach przytaczają nasi autorzy więcej. Stanowią one tylko drobny przyczynek do olbrzymiej literatury etnograficznej naszego kraju. Ale i one dają nam wystarczające wyobrażenie o „mrokach średniowiecza” zalegających nasze karpackie i pozakarpackie zaścianki od samych początków tutejszego osadnictwa aż po sam próg XX wieku.

Jest rzeczą dziwną, że w tych „mrokach” wynikłych z braku oświaty ludność czuła się nie najgorzej, a nawet „swojsko”. Okazuje się, że magia nie tylko zaspokajała w pewnym stopniu wrodzone człowiekowi skłonności do kontaktowania się z siłami nadziemskimi, ale dawała mu pewne widoki i możliwości do technicznego opanowania świata przy pomocy jakiegoś psychicznego imperatywu³⁵. Toteż słusznie zauważył Bronisław Malinowski: „Magia zdaje się poruszać w każdym jakimś

³⁴ M. wsp. nr 32, s. 32—37, 59—61.

³⁵ Zob. m. in. R. Thurnwald, *Psychologie des primitiven Menschen*, [w:] *Vergleichende Psychologie*, t. 1, s. 145—320; F. Graebner, *Das Weltbild der Primitiven*, München 1924; L. Lévy-Bruhl, *Le surnaturel et la nature dans la mentalité primitive*, Paris 1931; G. Gurvitch, *La vocation actuelle de la sociologie*, Paris 1950, szczególnie rozdz. VII: „La Magie, la Religion et le Droit”, s. 409—525; J. G. Frazer, *The Golden Bough*, przekł. pol. Krzeczukowskiego, Warszawa 1969.

ukryte siły umysłowe, jakieś utajone nadzieje czegoś cudownego, jakieś drzemiące nadzieje tajemniczych możliwości człowieka. Świadczy o tym potęga, jaką w poezji posiadają takie słowa, jak «magiczny», zaklęcie», «czar», «opętać», «oczarować», w której ciężar gatunkowy słów, siły emocjonalne, jakim one wciąż jeszcze dają upust, najdłużej się utrzymują i najwyraźniej uwidaczniają»³⁶.

Jeśli chodzi o dzisiejszy stan rzeczy, to „magia”, piętnowana przez kościół stale jako „gusła” i „zabobony”, znajduje się obecnie również i w naszym regionie w zaniku. Jest to wynikiem postępu oświaty i cywilizacji. Z. T. Wierzbicki zauważa słusznie w pracy poświęconej wsi Żmiąca, że „obecnie niewiele już pozostało we wsi z dawnych guseł i zabobonów [...] Oczywiście, zawsze można jeszcze znaleźć, szczególnie w starszym pokoleniu, osoby, które wierzą nie tylko w zabiegi magiczne w stosunku do bydła, lecz także w strachy czy wodzenie, bo przecież nie wolno zapominać, że teren wiejski, a w dodatku górski, stwarza podatne warunki dla utrzymania się szeregu zabobonów, opartych często na słabości nerwów ludzkich, na złudzeniach wzrokowych i grozie ciemności nocnych. Są to jednak fakty dość rzadkie, a ponadto, co ważniejsze, nie znajdują już one większego społecznego oddźwięku [...] Natomiast często można spotkać się z relikdami zabobonów w żartach, powiedzonkach albo tradycją uświęconych zwyczajach”³⁷.

W każdym razie znajomość tych „mroków średniowiecza”, zalegających jeszcze do niedawna wieś polską, jest bardzo przydatna dla głębszego poznania jej dziejów i jej kultury.

GALICYJSKA OŚWIATA. Pierwsze szkoły pojawiają się na zie-

miach polskich, po wsiach i miasteczkach, w wieku XIII. Szkoły te, prowadzone przez kościół, rozwijają się coraz pomyślniej do wieku XV. W wieku XVI pod wpływem reformacji przechodzą kryzys i masowo zanikają. Dopiero po soborze trydenckim (1545—1563) pojawiają się na nowo, pokrywając ok. roku 1600 prawie cały kraj. „W zasadzie bowiem — pisze prof. Kot — każda parafia, tak miejska jak wiejska, musiała mieć szkołę”. W szkole uczył bakałarz („klecha”) wraz z pomocnikiem i kantorem. Podstawą ich nędznej egzystencji bywał zwykle grunt szkolny i „klerykatura”, tj. stałe datki od parafian w pieniądzu czy w naturze (osep w zbożu, kołęda, petyta, część z mesznego). W szkołach parafialnych (trywialnych) uczono głównie rzeczy elementarnych i po-

³⁶ B. Malinowski, *Szkice z teorii kultury*, Warszawa 1958, s. 444.

³⁷ Z. T. Wierzbicki, *Żmiąca w pół wieku później*, Warszawa 1963, s. 365—366.

czątków łaciny. Tak było — nie mówiąc o szkołach średnich i wyższych — aż do rozbiorów³⁸.

Po pierwszym rozbiorze na terenie Galicji dość niski stan oświaty jeszcze bardziej się obniżył, a to wskutek zakusów germanizacji. Szkół ludowych było w dalszym ciągu bardzo mało, a i z nich niewiele dzieci korzystało. Przykładem tego choćby diecezja przemyska.

„W Galicyi i w dyecezyi przemyskiej obrządku rzymskiego — pisze ks. Kalinka — na 1 493 874 mieszkańców jest 13 702 uczniów w szkołach normalnych, trywialnych i parafialnych tak męskich, jak żeńskich, co czyni 1 uczeń na 108 mieszkańców. Jest też w Galicyi w dyecezyi przemyskiej 101 860 młodzieży zdolnej do szkół, a zatem w jednej tylko dyecezyi pozostaje 88 158 chłopców i dziewcząt wiejskich, którzy żadnej nie pobierają nauki”³⁹.

Toteż ciemnota panoszyła się w kraju na dobre. Stwierdza to wyraźnie w swej pracy pod znamienym tytułem *Ciemnota Galicyi* Stefan Zaleski (Światłomir): „Rząd nadal skąpił funduszy na zakładanie szkół po miastach, szlachta zaś i duchowieństwo, z małymi wyjątkami, nie troszczyli się wcale o szkółki wiejskie. Między rokiem 1773 a 1850 powstało w Galicyi zaledwie 6 szkół średnich i 43 ludowe główne, tzw. *Hauptschulen*. Oprócz tego była pewna liczba szkół parafialnych, zimowych, po wsiach i miasteczkach, w których uczyli przeważnie organści, djacy, włościanie i różnego rodzaju przybłądy, lecz stan tych szkół był po większej części tak nędzny, iż nawet nie wciągano ich do wykazów statystycznych. Dopiero w r. 1841 znajdujemy w statystyce austriackiej pierwsze obliczenia szkół ludowych w Galicyi. Naliczono ich tu wtenczas ogółem 1946 z liczbą 736 nauczycieli i 1409 pomocników. Do szkół tych uczęszczało ogółem 70 135 dzieci. Jedna szkoła przypadała średnio na 39,73 km², a jeden uczeń na 63 mieszkańców”⁴⁰.

Ale pomimo tego lud nie mógł narzekać na brak... nauczycieli. „Jego nauczycielami — pisze z gorzką ironią Kalinka — byli urlopnicy, grencejgry, zapłaćeni arendarze, urzędnicy, starostowie cyrkularni, jego szkołą była karczma i biura obwodowe, książką elementarną prawodawstwo austriackie i decyzje cyrkularne, przedmiotem nauki grunt i las właściciela, a w końcu jego głowa”⁴¹. Darujmy autorowi-szlachcicowi jego ostatnie słowa, podyktowane wrodzonym konserwatyzmem. Jego uprzedzenie do ówczesnych „nauczycieli” ludu wydaje się jednak słuszne.

³⁸ S. Kot, *Dzieje wychowania*, Warszawa 1931, s. 67—68, 105—107.

³⁹ *Galicja i Kraków pod panowaniem austriackim*, Kraków 1898, s. 67.

⁴⁰ Światłomir, *Ciemnota Galicyi w świetle cyfr i faktów, 1772—1902*, Lwów 1904, s. 4. Zob. Kieniewicz, *Galicja...*, s. 148 i n.

⁴¹ Kalinka, *op. cit.*, s. 68.

Stanowczą poprawę przyniósł tu dopiero rok 1866. Wtedy bowiem konstituuje się na wniosek rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego Dieta Rada Szkolna Krajowa z siedzibą we Lwowie. Rada ta przejmuje narzeczcie od kościoła całe szkolnictwo ludowe z wyjątkiem nadzoru nad nauką religii, podnosi stan moralny i materialny nauczycieli przez zakładanie seminariów nauczycielskich i odpowiednie uposażenie, zagęszcza sieć szkół po wioskach i zaprowadza przymus szkolny. W ten sposób Galicja staje się w ciągu 50 lat (1866—1918) na ogół krajem oświeconym, zdolnym do rozbudowy oświaty na całym terytorium odzyskanej ojczyzny ⁴².

Jeśli chodzi o nasz region, to uczestniczy on niemal od samego początku swego zaludnienia w powolnym procesie podnoszenia się oświaty w kraju. Szkoła istnieje tu z całą pewnością od r. 1596, a jej dalsze istnienie w w. XVII i XVIII potwierdzają akta wizytacyj biskupich, księgi metrykalne i akta procesowe. W tym czasie uczą tu różni nauczyciele, jak Michał z Nowego Targu, Tomasz Mielecki, Jan Goduski itp., pełniąc obowiązki „rektorów” miejscowej szkoły ⁴³.

Akta wizytacyjne wspominają nieraz o lichym stanie budynku szkolnego i nakazują jego naprawę. Niemniej szkoła stoi i jak może, tak pełni swoją funkcję. Ponowne ożywienie jej działalności następuje dzięki miejscowemu dziedzicowi, który z końcem XVIII w. postawił własnym kosztem nowy budynek szkolny, jak o tym świadczył niegdyś wyryty na tragarze napis:

„Za dziedzictwa J. W. Hrabi Stanisława Nałęcz Małachowskiego, Referenta Królestwa Polskiego dnia 23 lipca 1788” ⁴⁴.

W ślad za gestem polskiego magnata idzie niebawem i łaska austriackiego starosty z Nowego Sącza:

„Organicie Stramskiemu.

No 2928.

Naywyższe Krajowe Rządy mocą Ordynacyi dt. 24 Octobris roku tego temuż roczną Remuneracyą po 3 dukaty od terazniejszego roku szkolnego poczynając za

⁴² Kot, *op. cit.*, s. 236, 254—255, 270—272.

⁴³ Odnośnie do czasów saskich prof. Kot zauważa: „Za Sasów szkółka parafialna na wsi po prostu nie istniała, nawet i w miasteczkach stawała się rzadkością. Zrodzona nie z dążeń oświatowych, ale z potrzeb kościelnych, musiała zaniknąć, gdy kościół, sam pogrążony w upadku umysłowym, przestał jej potrzebę odczuwać” (*op. cit.*, s. 107). Uwaga ta jest miarodajna i dla naszego regionu. W owych czasach nawet administrator dóbr Strzeszyce Franciszek Polkowski figuruje w aktach sądowych jako niepiśmienny (*ignarus scribendi*). *Castr. Sandec.*, t. 210 (prot.), s. 25, r. 1742.

⁴⁴ *Historia szkoły trywialnej w Dobry...* Odpis dra Tadeusza Paszkiewicza przechowywany w APD/L — P 29, s. 5.

uczenie dzieci naylorawiey wyznaczyć raczyły. Co się iemu z tym dokładem wiadomo czyni, iż względem odbierania tegoż Salarium co kwartał lub co półroku do tuteyszej Cyrkularney Kassy udawać się potrzeba.

W Nowym Sączu dnia 9 Novembris 1790.

Siegstatten Tschirsch wr.
Star. Cyr"⁴⁵.

Dzięki tym faktom szkoła ludowa w Dobrej zaczęła pracować wydatniej. Uczył wtedy kierownik Stramski. Owoce jego pracy podziwiał już w roku 1813 znany nam Jan Rostworowski. Od roku 1829 kierownikiem szkoły jest Mateusz Rudnicki, który uczy wraz z pomocnikiem. Za jego czasów szkoła zyskuje nowy budynek (1862 r.), a niebawem przechodzi pod zarząd krajowy (1871 r.). Gdy kierownikiem był Marcin Szewczyk, szkoła przekształca się na dwuklasową (1899), a później (1910) na trzy- i czteroklasową (1912)⁴⁶.

Szkoła w Dobrej, tak jak i w całej Galicji, funkcjonuje więc zrazu jako instytucja kościelna pod nadzorem państwa. W tym okresie swej działalności szkoła jest obciążona licznymi obowiązkami. Należą do nich: przestrzeganie ustawodawstwa szkolnego, państwowego i kościelnego; wykonywanie zarządzeń odnośnych władz; ustawiczne kontaktowanie się z gminą, plebanią i dworem; ciągła troska o uczęszczanie młodzieży, jej postępy w nauce i zachowanie się; właściwa praca oświatowa i wychowawcza; zarządzanie majątkiem szkolnym, tj. gruntem, budynkami i inwentarzem; wreszcie codzienna walka o byt podejmowania przez nauczycieli.

Przełożonym szkoły ze strony kościoła był wtedy miejscowy pleban jako „nadzorca” (1868 r. ks. Jana), inspektorem powiatowym — dziekan z miejscowego dekanatu (ks. Warpecha z Limanowej), inspektorem głównym szkół ludowych na terenie diecezji — scholastyk kapituły tarnowskiej i przedstawiciel konsystorza biskupiego (ks. Giełdanowski), władzą diecezjalną — konsystorz z biskupem-ordynariuszem na czele (biskup Pukalski)⁴⁷.

Ze strony państwa czynnikiem regulującym było wtedy starostwo obwodowe (k. k. Kreisamt) w Nowym Sączu, a później urząd powiatowy (k. k. Bezirksamt) w Tymbarku, potem w Skrzydlnej, a wreszcie w Limanowej (od r. 1868). Władzę zwierzchnią wykonywał rząd krajowy (k. k. Landesgubernium) we Lwowie, podległy rządowi centralnemu w Wiedniu.

⁴⁵ Akta szkoły ludowej w Dobrej, APD/L — P 29, akta 2.

⁴⁶ *Historia szkoły...*, s. 11.

⁴⁷ *Schematismus Universi Venerabilis Cleri Dioeceseos Tarnoviensis AD 1868, Tarnoviae 1867.*

Ustawodawstwo szkolne, z wyjątkiem nauki religii, należało do czynników państwowych, jak również nadzór nad wykonaniem ustaw i programów szkolnych. Natomiast do czynników kościelnych należała kontrola organizacji szkolnictwa ludowego, spraw personalnych, nauczania i wychowania, sprawy majątku szkolnego, inwentarza, a nawet środków utrzymania.

Podwójny system zarządzania sprawia ówczesnej szkole ludowej od samego początku wiele trudności. Ale jeszcze więcej przysparza ich życie. Do stałych niedomagań i bolączek szkoły parafialnej należy m. in. taka sprawa, jak brak zrozumienia wśród ludności dla potrzeb szkoły jako instytucji stałej. Jakieś kursy zimowe — owszem. Na to się wszyscy godzą. Ale po co zabierać dzieci z domu na cały dzień i przez cały rok, a nawet przez kilka lat. Korzystną zmianę wnosi tu dopiero wieloletnia praca duszpasterza, poparta nieraz represjami ze strony władz cywilnych. Najwięcej jednak skuteczna okazuje się współpraca samego społeczeństwa w ramach ustanowionych „komitetów szkolnych” (1867) i „rad szkolnych” (1871)⁴⁸.

Inną, i to poważną trudność stanowi sprawa przyjmowania sił nauczycielskich. Brak potrzebnego wykształcenia, a z drugiej strony nędzne warunki egzystencji są przyczyną stałego niedoboru. Przykładem — sprawa Komendeckiego.

„Dowiedziawszy się — pisze petent — że posada pomocnika przy triwialnej szkole w Dobry jest opróżniona, przeto w pokorze upraszam Wielebny Urząd Parafialny, aby też raczył do Najprzewielebniejszego Konsystorza za mną łaskawie się wstawić [...] Przyłączam także moje

- A. Zaświadczenie, jako niższą realną szkołę ukończyłem.
- B. Metrykę urodzenia.
- C. Zaświadczenie Obyczajności.
- D. Zaświadczenie, jako Metodę służyłem i Egzamin zrobiłem [...]

Julian Komendecki jako Aspirant”⁴⁹.

Prośbę aspiranta popiera dyrektor szkoły głównej w Nowym Sączu, Aroni, pismem z dnia 16 XII 1862 r.

„Donoszę Wm. ks. Proboszczowi Dobrodz., że tenże uczył się metody i praktykował przy szkole tutejszej, a uzyskawszy pozwolenie złożenia egzaminu, zasiadł w obecności Wm. ks. Dziekana. Po wysłuchaniu przesłaliśmy operat egzaminowy do Przew. Nadzoru szkoły, który posłałszy takowy do Najprzew. Konsystorza; a tenże doniósł nam, że kandydat niech się przysposobi i ma zdawać egzamin a bo w Krakowie lub Tarnowie, ponieważ Wysoka Namiestnicza Komissya zabroniła w delegacji egzamina zdawać.

⁴⁸ Akta szkoły..., zawierają też dokumenty dotyczące tut. rady szkolnej. Zob. akta nr 153, 162, 176, 185, 186.

⁴⁹ *Ibidem*, akta nr 111.

Zatem wypadałoby prosić Najprzewiel. Konsystorza, ażeby Komendeckiego jako prowizorycznego pomocnika przy szkole w Dobrej pozostawić raczył, i że tenże ma później egzamin zdać się deklaruje. Nie ma bowiem obawy, aby na tak lichą pensyą się kto dobijać miał o tę posadę”⁵⁰.

Odpowiedź konsystorza tarnowskiego jest wymowna i dobrze wy-daje się świadczyć o wysokich wymogach stawianych aspirantom do zawodu nauczycielskiego:

„Do Czcigodnego Urzędu Parafialnego w Dobrej.

Tamtejszy pomocnik nauczyciela Komendecki Julian został nam przedstawio-ny jako indywiduum słabego ducha, ubogie w wiedzę, niezaradne w metodzie nauczania, mało pilne, a przy tym bardzo zarozumiałe. Taka charakterystyka nie czyni go zdatnym do urzędu nauczycielskiego, przynajmniej dlatego, że przy swojej wielkiej ograniczoności jest w dodatku człowiekiem bez wykształcenia. Ale to jest zwyczajna choroba ubogich duchem ludzi. Jeśli by więc on nie mógł ani nie chciał być czymś innym, to niech raczej zawczasu z tego powołania zrezygnuje, aby się oglądnać za innym zawodem. Nie może on bowiem ani nie powinien być przy szkole ludowej cierpiącym, ani tym mniej kiedykolwiek zatrudnionym.

(—) Josef Alois wr. (biskup Pukalski)

Z Konsystorza Biskupiego

Tarnów, 18 grudnia 1863

(—) Giełdanowski wr.”⁵¹.

Pomimo tego Komendecki uczy nadal w Dobrej jako pomocnik nauczyciela, prawdopodobnie z braku innego kandydata, nie mając ofi-cjalnego zezwolenia. Konsystorz liczy się już nawet z możliwością za-twierdzenia go. Stąd pismo:

„Czcigodny Urząd Parafialny zechce nam całkiem sumiennie i szczerze wy-jawić, czy postawa i użyteczność tego młodego człowieka była, jak dotąd, tego rodzaju, że mógłby być samodzielny. Należy też przedłożyć jego świadectwo kwalifikacyjne.

(—) Josef Alois wr.

Z Konsystorza Biskupiego

Tarnów, 9 maja 1865

(—) Figwer, kan. wr.”⁵².

Epilog tej sprawy jest całkiem niespodziewany: rozporządzeniem Konsystorza Biskupiego w Tarnowie z dnia 31 lipca 1866 r. Komendecki zostaje — po czterech latach służby — ze swego stanowiska ostatecznie zwolniony⁵³. Na jego miejsce przychodzi Franciszek Prajer.

⁵⁰ *Ibidem*, akta nr 112.

⁵¹ *Ibidem*, akta nr 120.

⁵² *Ibidem*, akta nr 131.

⁵³ *Ibidem*, akta nr 150.

Inną, i to niemałą trudność dla szkoły ludowej, prowadzonej przez kościół, stanowi utrzymanie nauczycielstwa. Pewne wyobrażenie o tym daje nam archiwum miejscowej szkoły, a zwłaszcza zawarta w nim historia tej placówki. Według niej na wynagrodzenie nauczyciela składały się kolejne, z biegiem czasu poczynione dotacje.

„Pierwotna dotacja gubernialna z r. 1790 zostaje zamieniona w r. 1829 na 13 złr. 30 kr. Równocześnie Gubernium nakłada taki sam obowiązek na dwór i na gminy.

W r. 1843, w wykazie przesłanym do cyrkułu sądeckiego, dotacja dworska wynosi w rzeczywistości tylko 8 złr. i 8 kr. Natomiast dotacja gminna wynosi nieco więcej, bo 18 złr. 14 kr. gotówką i 22 złr. 14 kr. w naturze, tj. w jęczmieniu i owsie.

W r. 1846 dochodzi dotacja od gminy Porąbka w kwocie 3 złr. 36 kr., a od dworu 4 sągi miękkiego drzewa bez wyrabiania i odwozu, wartości 2 złr. 24 kr., oraz dwa morgi i 800 sążni kw. wartości 7 złr. 33 kr.

Dochodzi przy tym stała dotacja od parafii (proboszcza) dla nauczyciela jako organisty w kwocie 30 złr. 11 kr. oraz morgi i 303 sążni kw. gruntu wraz z ogrodem, co czyni dodatkowo 4 złr. 48 kr.

Cała zatem dotacja roczna nauczyciela i organisty zarazem wynosi 102 złr. 34 kr.

W r. 1865 c. k. Urząd Powiatowy w Skrzydlnej powiadamia nauczyciela, że gminy należące do szkoły mają odtąd dopłacać rocznie 148 złr. 60 kr.

Dochodzą remuneracje jednorazowe lub stałe w kwocie 25—30 złr. za wieloletnie nauczanie młodzieży w niedziele i święta.

Dotacja pomocnika wynosi w tym czasie 48 złr., a po r. 1847 — 70 złr. rocznie. Dotacja ta zostaje podniesiona w r. 1863 do 130 złr., tj. — jak wyjaśniono w r. 1866 — z funduszu szkolnego 100 złr., a od gmin 30 złr. Pomocnik może przy tym otrzymać niekiedy jednorazową subwencję w kwocie 100 złr., jak np. w r. 1869⁵⁴.

Do stałej troski miejscowego kierownika („dozorcy”) i proboszcza („nadzorcy”) szkoły, tudzież konsystorza biskupiego i władz krajowych o uposażenie nauczycieli dołącza się ciągle staranie o mieszkanie służbowe dla nich. W obu tych wypadkach rolę egzekutora pełni urząd cyrkularny czy powiatowy. Mieszkanie kierownika mieści się w budynku szkolnym, więc tu chodzi tylko o okresowe reperacje budynku i przynależności. Gorzej z mieszkaniem dla pomocnika. Władze początkowo nakładają na dwór obowiązek dostarczenia mieszkania. Ale dwór się broni. W roku 1850 wnosi rekurs do urzędu cyrkularnego w Nowym Sączu osławiony rządcą Kisielewski, tłumacząc się, że pomocnikowi przydzielił mieszkanie zajmowane dotąd przez leśniczego, ale ten go przyjąć nie chciał⁵⁵. Podobny sprzeciw wnosi w roku 1857 na ręce pro-

⁵⁴ *Historia szkoły...*, s. 1—4.

⁵⁵ *Akta szkoły...*, akta nr 16; zob. też akta nr 11, 12, 14, 42, 53, 54, 65, 83, 102 i 116.

boszcza Feliks Łodziński, administrator dóbr z ramienia dziedzica hr. Henryka de Granow Wodzickiego, nowego właściciela klucza dobrskiego:

„Wspomniał mi W. X. Proboszcz Dobrodz., aby dla pomocnika szkółki Dobrskiej przysposobić lokal. Zastanowiwszy się nad tem, muszę prosić W. X. Dobrodzieja, aby mi raczył wyjaśnić powód, z jakiego tytułu obowiązany dwór dawać mieszkanie pomocnikowi szkółki, a to dlatego, abym się miał czem [...] Dziedzicowi wykazać, by pozwolił dać wspomniany lokal.

Zostaję z uszanowaniem i uniżonym sługą

(—) Łodziński wr.

Dobra, 26 kwiet. 1857”⁵⁶.

Po tej odmowie Urząd Powiatowy w Skrzydlnej załatwił sprawę mieszkania dla pomocnika szkolnego w drodze repartycji czynszu lokalowego między dwór i gminy, przy czym przypadające kwoty czynszu rocznego (12 złr) miały być wpłacone w ciągu 14 dni pod groźbą egzekucji na ręce „Wielmożnego Plebana w Dobry”⁵⁷.

Inną bolączką ówczesnej szkoły ludowej jest frekwencja. W 1848 r. wynosiła ona w naszym regionie zaledwie 23⁰/₀, a w 20 lat później podniosła się do 35⁰/₀⁵⁸. Jest rzeczą zrozumiałą, że wioski bliższe wykazywały większą frekwencję niż dalsze.

Uczęszczanie do szkoły

Wieś	1848			1867		
	dzieci w wieku szkolnym	dzieci uczęszczające do szkoły	%	dzieci w wieku szkolnym	dzieci uczęszczające do szkoły	%
Dobra	179	93	52	138	98	71
Jurków	114	33	28	74	23	31
Gruszowiec	60	13	21	40	7	17
Zadziele	25	9	36	17	7	41
Porąbka	68	13	19	48	17	35
Chyszówki	118	7	6	69	14	20
Pólrzeczki	96	—	—	44	6	13
Wilczyce	54	—	—	34	—	—
Łostówka	16	—	—	16	—	—
Razem	730	168	23	480	172	35

Trzeba przyznać, że ówczesne władze krajowe czyniły wiele, aby tę frekwencję poprawić. W tym celu wydały szereg zarządzeń, a nawet opracowały specjalne „przepisy pod względem obowiązku uczęszczania

⁵⁶ *Ibidem*, akta nr 53 oraz 54.

⁵⁷ *Ibidem*, akta nr 65.

⁵⁸ *Ibidem*, akta nr 10.

do szkół ludowych..."⁵⁹. Żądają tam m. in. „miesięcznych wykazów zaniedbań szkolnych”. Wykazy te były istotnie sporządzane⁶⁰. Władze groziły nawet interwencją żandarmerii, jak o tym świadczy pismo komendanta posterunku w Mszanie Dolnej z 2 października 1863 r.⁶¹. Za nieposyłanie dzieci do szkoły władze karzą grzywnami, a uzyskane stąd pieniądze przeznaczają na zakup książek i pomocy szkolnych.

„Wskutek polecenia Wysokiego C. K. Namiestnictwa krajowego z dnia 16-go czerwca 1861 do liczby 37 872 zakupił C. K. Urząd Powiatowy z pieniędzy karnych za opieszale posełanie dzieci do szkoły zebranych, ruchomy alfabet w polskim i niemieckim języku.

Gdy się takowy Wielebnemu Urzędowi Parafialnemu [...] dla użytku szkoły tamtejszej przeseła, uprasza się o wciąganie tego alfabetu do inwentarza szkolnego.

Z. C. K. Urzędu Powiatowego

C. K. Naczelnik Powiatu

Skrzydłna, dnia 22 października 1861

(—) Hubczyk wr.”⁶².

Władze zdają sobie dobrze sprawę z tego, że trudniej jest osiągnąć poprawę frekwencji w wioskach bardziej oddalonych od szkoły, jak Jurków (0,5 mili), Zadziele (0,5 mili), Porąbka (0,75 mili), Gruszowiec (0,75 mili), Chyszówki (1,5 mili), Łostówka (1,5 mili), Pólrzeczki (1,75 mili) i Wilczyce (1,75 mili)⁶³. Stąd też biorą pewien wzgląd na dzieci mieszkające dalej niż pół mili od szkoły⁶⁴. Jednakowoż miejscowe czynniki, głównie nauczyciel-dozorca i pleban nadzorca szkoły, są bardziej wymagające i w wypadku uporczywej absencji karzą, chyba że ktoś przedstawi świadectwo lekarskie. Świadectwa takie wystawia słabowitym dzieciom lekarz powiatowy⁶⁵.

Przy takich rygorach frekwencja znacznie się poprawiła, dochodząc po 20 latach w Dobrej do 71⁰/₀, a w całym obwodzie szkolnym do 35⁰/₀. Akcja ta jednak osiągnęła swój pełny skutek dopiero po założeniu dodatkowych szkół w ludniejszych wioskach, co nastąpiło dopiero z końcem XIX i początkiem XX w.

Lista bolączek ówczesnej szkoły galicyjskiej mogłaby być jeszcze dłuższa. Zamknijmy ją tu jednak krótkim ich zestawieniem, zawartym w sprawozdaniu powizytacyjnym radcy szkolnego dra Machera z r. 1857,

⁵⁹ *Ibidem*, druk nr 17.

⁶⁰ *Ibidem*, akta nr 28, 53, 66 itd.

⁶¹ *Ibidem*, akta nr 30.

⁶² *Ibidem*, akta nr 98 i nn.

⁶³ *Schematismus...*, s. 87. Odległości są tu nieco wyolbrzymione

⁶⁴ *Akta szkoły...*, akta nr 13.

⁶⁵ *Ibidem*, akta nr 43, 44 i in.

przesłanym miejscowemu nadzorcy szkoły przez urząd powiatowy w Skrzydlnej. Sprawozdanie to wymienia następujące „błędy”:

1. nieregularne płacenie dotacji nauczycielowi;
2. opieszale uczęszczanie dzieci do szkoły, stąd polecenie:

„Gdzie więc lokale szkoły za szczupłe jest, jest pozwolone półdniową naukę zaprowadzić w szkole [...] Druga przeszkoda w uczęszczaniu dzieci do szkoły pochodzi najwięcej z tego, że dzieci do szkoły uzdatnione podczas lata do paszenia bydła przez ich rodziców używane bywają [...] Ta przeszkoda dla nauki i moralności wielce szkodliwa mogłaby po części być zapobieżona, ażeby w stronach, gdzie to zło istnieje, dzieci w godzinach południowych naukę w szkole odbierały. Nie mniej też, ażeby dzieci do paszenia bydła używane książkami szkolnymi się zaopatrzyły i przy paszeniu bydła sami lub wspólnie z drugimi się z takowych uczyły. Zmuszanie dzieci do szkoły uzdatnionych rozciąga się i na Żydów”.

3. opieszale uczęszczanie do szkoły w niedziele (*Wiederholungsschule*);

4. brak książek szkolnych:

„Przekonano się, że bardzo wiele dzieci do szkoły uczęszczających książek nie mają, co nie z ubóstwa, lecz więcej z niechęci pochodzi”.

5. niedogodności lokalów szkolnych:

„Szkolny pokój choć raz w rok wybielony i podłoga wymyta być powinna; potem opatrzone szyldem z napisem i dzwonkiem, nie mniej corocznie od ognia zabezpieczone. Wielbny Urząd Parafialny raczy w tem względzie dopilnować, by te niedogodności w czasie stosownym usunięte były, jako też w to wglądać, ażeby w porze lata okna w szkole podczas nauki odmykane były, by uniknąć zaduchu tak szkodliwego dla zdrowia. A na koniec przez swój wpływ postarać się, ażeby strony [nauczycielstwo] interesujące, niezbędnie do nauki potrzebne książki sprawiły, a to: (1) *Anschauungsunterricht in Bildern von Tymsky*, (2) *Die Unterklasse von Hermann, czyli Methodik zur Behandlung der Fibel*, (3) *Die Methodik des Kopfrechnens* — tutaj donieść, czyli przy tamtejszej szkole istnieje Pauszale na atrament, gąbkę i kredę.

Wyszczególnwszy wyknięte błędy przez Wysoki Rząd, uprasza się Wielbny Urząd Parafialny jako dozorcę szkół ludowych, by ściśle podług tego zachować się raczył, i w razie potrzeby tutejszej pomocy zażądał, która niezwłocznie udzielona zostanie.

Skrzydlna d. 26 listopada 1857

C. K. Urząd Powiatowy
C. K. Naczelnik
(—) Hubaczek wr.”⁶⁶.

Nasuwa się tu pytanie, jak mogła ówczesna szkoła ludowa spełniać swe oświatowe i wychowawcze zadanie przy tylu różnych bolączkach i kłopotach. Było to możliwe tylko wtedy, gdy na stanowiskach kie-

⁶⁶ *Ibidem*, akta nr 68.

rownicznych pracowali tacy ludzie, jak tutejszy pleban Jakub Jana (1844—1871) i kierownik Rudnicki. Szczególnie ciekawa jest postać Rudnickiego.

Mateusz Rudnicki przychodzi na świat w roku 1809. Po odbyciu nauk podstawowych, ogólnych i kościelno-muzycznych zjawia się w Dobrej w roku 1827, mianowany dekretem konsystorskim „pomocnikiem prowizorycznym” w szkole u boku kierownika Stramskiego. Dekretem gubernialnym zostaje mianowany w 1829 r. suplentem, a niebawem nauczycielem i kierownikiem tutejszej szkoły. Równocześnie obejmuje w miejscowej parafii stanowisko organisty. Odtąd będzie tu pracował jako kierownik szkoły i organista przez przeszło 50 lat⁶⁷.

Jego zajęcia jako organisty obejmują takie czynności, jak gra organowa na nabożeństwach, nauczanie śpiewu kościelnego, prowadzenie chóru, asystowanie przy obrzędach religijnych, pomoc kancelaryjna przy prowadzeniu ksiąg metrykalnych itp.⁶⁸.

Jego obowiązki szkolne są jeszcze liczniejsze i bardziej czasochłonne. Należą do nich: administracja szkoły, nauczanie i wychowywanie młodzieży, okresowa klasyfikacja i uroczyste egzaminy, czyli tzw. „popisy”, ciągła troska o frekwencję młodzieży i jej postępy w nauce, czuwanie nad jej praktykami religijno-moralnymi, staranie się o pomoce szkolne, budynek szkolny i inne obiekty, dbałość o higienę i obsługę szkoły, a przy tym ciągłe wizytacje, zebrania, wyjazdy, dokształcanie się itd. Pewne wyobrażenie o tych wszystkich zajęciach szkolnych dają dochowane dotąd archiwalia oraz kurendy szkolne (*Schul-Kurrende*)⁶⁹.

Rudnicki jest przy tym ojcem licznej rodziny. Ożeniony z Heleną Wróblewską ma z nią 13 dzieci. Z tych najstarszy, Ludwik, jest księdzem, Jan kupcem, Stanisław nauczycielem w Tarnowie, Antoni nauczycielem w Suchej itd. Córki wydane za mąż do Raby Niżnej, Suchej, Tymbarku i Tęgoborzy⁷⁰.

⁶⁷ *Historia szkoły...*, s. 10.

⁶⁸ Zob. m. in. *Niektóre przestrogi dla nauczycieli, którzy oraz są organistami, kościelnymi...*, „Kurenda Szkolna”, 1864, nr 1, s. 3 nn. Pismo urzędowe Konsystorza Biskupiego w Tarnowie.

⁶⁹ Akta szkoły ludowej w Dobrej obejmują dokumenty dotyczące ustawodawstwa szkolnego, władz szkolnych, rad szkolnych, personelu nauczającego, funkcji oświatowo-wychowawczych, uczniów (także i izraelitów), ich pochodzenia, frekwencji, postępów i zachowania się, pomocy szkolnych (podręczniki dla nauczycieli, biblioteka uczniów, książki dla uczniów, mapy i globusy, obrazy i tabele), budynków i gruntów szkolnych itp. — Pismem urzędowym dla szkół ludowych jest zrazu „Currenda” konsystorza tarnowskiego, a później specjalnie wydawana „Kurenda Szkolna” („Schul-Kurrende”). Zob. też *Regulamin dla szkół ludowych*, Lwów 1876.

⁷⁰ *Status animarum parochiae Dobrensis*, Dobra nr d 98 APD/L — L III/.

Nie brak Rudnickiemu i trudności w pracy; przyczyniają się do tego rodzice opieszali w posyłaniu swych dzieci do szkoły; podtrzymuje go jednak na duchu współpraca z energicznym i wpływowym plebanem. Raz tylko dochodzi między nimi do oziębienia stosunków i wzajemnych pretensyj, lecz nie na długo. Niebawem wraca wzajemna zgoda⁷¹.

Za swą pracę Rudnicki otrzymuje kilkakrotnie dowody uznania. W roku 1857 konsystorz tarnowski nadaje mu specjalnym dekretem tytuł „wzorowego nauczyciela”. W roku 1869 Wydział Krajowy Królestwa Galicji i Lodomerii przysłał mu dekret pochwalny wraz z nagrodą pieniężną w kwocie 50 złr. „za pilność i gorliwość w nauczaniu dzieci”. Dekret ten wręcza mu Marszałkiewicz, prezes Rady Powiatowej, właściciel dóbr w Kamienicy. W roku 1875 dekretem Rady Szkolnej Krajowej we Lwowie Rudnicki zostaje mianowany „rzeczywistym nauczycielem”, a w roku 1876 przechodzi na emeryturę z roczną pensją 300 złr.⁷².

Warunkiem ostatniego awansu było zrzeczenie się przez Rudnickiego obowiązków organisty przy kościele w Dobrej i pozostanie wyłącznie przy zajęciach szkolnych. Odnośne pismo brzmiało:

„Do Szanownej Rady Szkolnej Miejscowej
na ręce Wgo ks. proboszcza Aleksandra Bogusza
w Dobry

Pokazało się ze sprawozdania p. inspektora, iż w tamtejszej szkole jeden człowiek jako organista i nauczyciel w żaden sposób podołać nie może. Zatrudnionym albowiem bywa najczęściej do 10 godziny przed południem w kościele, chodzi 3 tygodnie z opłatkami, trzy tygodnie po koledzie, zbyt zatem mało czasu pozostaje na naukę dzieci.

Rada szkolna okręgowa poleca tedy szanownej Radzie Szkolnej Miejscowej, by się w porozumieniu z reprezentacjami gmin o uposażenie osobnego nauczyciela, który by się równocześnie nie trudził organistostwem, lub o dotacją dla drugiego nauczyciela postarała.

Bochnia dnia 23 czerwca 1872

Z C. K. Rady Szkolnej Okręgowej
Za przewodniczącego
(—) podpis nieczytelny”⁷³.

Wobec takiego stanu rzeczy Rudnicki zrzekł się organistostwa w Dobrej w 1875 r.⁷⁴, a w rok później przeszedł już w stan spoczynku. Emerytury dożywał w rodzinnej Sucheju, dokąd się po jakimś czasie przeprowadził. Stamtąd też przysłał w 1882 r. do Dobrej list, który pobrzmiewa melancholią. Widać, że pisał go człowiek, który stał się już zbyteczny.

⁷¹ *Pracownicy parafialni*, Akta, APD/L — P 6a, akta nr 2, 3, 4

⁷² *Historja szkoły...*

⁷³ *Ibidem*, akta nr 170.

⁷⁴ *Ibidem*, akta nr 177.

„Że się z Dobry wyprowadziłem — pisze — to uczułem, że do dalszej służby dla słabości sił nie zdolny jestem, a Dobrzanom stałem się zbyt cennym i wolałem im zejść z oczów. Jak się z nimi pożegnałem, to tego nie pamiętam, bo i głowę miałem trochę zaprzężoną. Może im powiedziałem: Panu Bogu was oddaję. Lecz żebym im miał dom i grunt oddawać, to przecie nie było moją własnością. I czekali tylko, bym się jak najprędzej wydał, aby wprowadzić Gutowskiego. Sucha 28 września 1882

(—) M. Rudnicki wr.”⁷⁵.

Ciekawe wspomnienia o Rudnickim i „jego” szkole podaje tutejsza pamiętnikarka Maria Łukasik:

„Dzieci do szkoły szły dopiero od roku dziewiątego. Szły z całej parafii: z Wilczyc, z Pórzeczek, z Chyszówek, z Porąbki, z Zadziewa, z Jurkowa, z Gruszowca i nawet z Białego. Szli wszyscy do Dobrej, do szkoły. Tam uczył jeden nauczyciel. Nazywał się Mateusz Rudnicki. Był bardzo surowy. Dzieci uczył od ósmej godziny do dwunastej z 5-ciecinutowymi przerwami. W południe dzieci miały godzinę przerwy. I znowu się uczyły do 4-tej godziny po południu.

Rodzice dawali im na obiad groch okrągły parzony, ziemniaki opiekane. Niektóre miały bucięta, a reszta kierzce. A z dalsza, jak np. z Białego, z Pórzeczek, dzieci nie chodziły [po nauce] do domów, tylko zostawały na pobliskich osiedlach, jak np. na „Pająkówce”, na „Kowalówce” itp. Wtedy rodzice przynosili im jedzenie: placki owsiane i bryndzę do tych placków. A jak było ciepło, to szły do domów.

Dziewczynki miały chusteczki na głowie za dwie szóstki, koszulki lniane pąceśne, spódniczki z płótna zgrzebnego i taką bluzkę. A chłopcy też mieli wszystko ze lnu. Na wierzch wdziewali tzw. «górnice». Byli krawcy, co szyli tę górnice na zimę, a na lato to szyli z pąceśnego płótna takie «kikie».

A jeżeli te dzieci były niegrzeczne, to nauczyciel bardzo bił, a ksiądz zamykał w kostnicy na parę minut. Te dzieci, jeżeli był czas przyzwoity, musiały iść do kościoła wszystkie, a w kościele musiały się przyzwoicie obchodzić, bo tacy «cyn-dyry», co mieli dozór nad nimi, a które się niedobrze zachowywały, to w szkole były bite. A «choćby cię pieczono, warzono w smole, nie opowiadaj, co było w szkole»⁷⁶.

Po Rudnickim został kierownikiem szkoły w Dobrej Gutowski, a po nim Szewczyk, Rychlicki i inni. Są to jednak już czasy nowsze. Tymczasem w pamięci starszych mieszkańców naszego regionu tkwi ciągle jeszcze szkoła dawna, „szkoła Rudnickiego i Gutowskiego”, która w przekonaniu jej byłych wychowanków dawała im dużo więcej, bo ich lepiej wychowywała. Świadczy o tym jeszcze jedno wspomnienie z lat szkolnych owych czasów.

„Krótka opowieść przypomni nam — pisze Maria Przybytek — Józefa Gutowskiego, nauczyciela w Dobrej. Uczył przed 70 laty. W tym czasie chodziło

⁷⁵ *Pracownicy parafialni*, Akta APD/L — P 6a, akta nr 14.

⁷⁶ M. wsp. nr 4, s. 1—3.

każde dziecko 4 lata do szkoły od 9-tej godziny rano aż do 3-ciej po południu. Dziecko musiało sobie wziąć obiad. Józef Gutowski miał zawsze obok siebie młodszego nauczyciela, co uczył młodsze dzieci. Uczyli nie tylko czytać, pisać i rachować, jak za Rudnickiego, ale jeszcze była kaligrafia, rysunki, historia naturalna, gramatyka, historia Polski i opowiadanie o różnych wojnach oraz pokazywanie na mapie miast, wsi, części świata i krajów. Śpiewano też pieśni i śpiewki szkolne w poniedziałek". Pamiętnikarka wymienia przykładowo kilka pieśni religijnych, a ze świeckich: *Hej, hej, chłopcy, hejże dzieci...*, *Na Wawel, na Wawel...*, *Już wrócił maj, zielony gaj...*, *Póki człowiek wesół żyje...*, *Jedzie, jedzie rycerz zbrojny...*, *Jak miło na dworze...*, *Rybko moja, rybko...*

„Nauczyciel ten — pisze dalej pamiętnikarka — uczył jeszcze, gdy czytaliśmy jakie historie, połapać ważniejsze słowa i ułożyć wierszyk. Trzy dziewczęta i czterech chłopców nauczyło się wedle możliwości, najlepiej Jarosz Jan, tak że poeta lepiej by nie potrafił. Nie lubił, jak kto skarżył, a nie miał o co. Zaraz mu dał na łapę i nazwał go zdrajcą”.

Z opowiadań historycznych podanych barwnie przez Gutowskiego, Maria Przybytek niektóre zapamiętała na całe życie: *Jak przez zdrajców Turcy niespodzianie napadli na Wiedeń...*, *Jak król Napoleon wyruszył na Rosję...*

Imieniny kierownika szkoły były wtedy świętem szkolnym. Wspomina o tym pamiętnikarka, pisząc:

„Jak miał imieniny, to te, które się lepiej uczyły, zanosily mu życzenia na karcie. Potem mu wszystkie dzieci zaśpiewały razem:

Słuchaj mężu pienia dziątek,
Które szczerze życzą Ci,
Byś żył wiele, wiele latek,
Nie znał nigdy, co to łyż.
Nie znał nigdy, co to cios.
Bóg wysłucha dziątek głos.
Żyj szczęśliwie i wesoło,
Szczep cnotliwość w sercach nam!”⁷⁷.

Szkoła galicyjska była szkołą na wskroś wyznaniową i to w sposób nie zawsze dający się pogodzić z naszymi pojęciami o wolności sumienia, a nawet z samymi zasadami wiary. Wtedy nie widziano w tym nic niewłaściwego. Głosy krytyki podnosiły się dopiero później, zwykle dopiero w ostatnich czasach. Oto jeden z nich:

„Zacznę od Austrii — pisze Jan Giza w swoich wspomnieniach — jak my byli w niewoli za cesarza Franciszka Józefa I. To nie była niewola! To była wolność prawdziwa i sprawiedliwa! Jedno było przykre, że nie było wolności sumienia. Każdy musiał wyznawać, nawet publicznie, religię katolicką, prawosławną, Żyd żydowską.

Dzieci szkolne w niedzielę zbierały się w szkole i trzeba było iść ładnie, spokojnie, parami: naprzód dziewczyny z młodszych klas, za nimi starsze, za tymi

⁷⁷ M. wsp. nr 5, s. 162—166.

chłopcy młodszy, a na końcu starsi. Na przodzie szedł nauczyciel Kozakiewicz (ok. 1906), pomocnik kierownika. Kierownik Szewczyk szedł prosto od szkoły do furtki i patrzył się na gościniec, jak dzieci idą. Jakby który ze starszych szedł nie bardzo przepisowo, to zaraz u furtki go kierownik porządnie za ucho wykręcił, bo on czekał, aż wszyscy przyjdą. On szedł ostatni, siedział pod chórem w pierwszej ławce na kraju [...] Kierownik w kościele modlił się, ale przy tym cały czas uważał na dzieci. Jakby się chłopcy w której parze trochę źle zachowywali, to on tylko zakaszłał, to już był spokój. A nie daj Boże, gdyby on musiał iść uspokoić. To na drugi dzień koniecznie wypadało ubrać spodnie skórzane...”⁷⁸.

Wyznaniowość szkoły galicyjskiej łączyła się w naszym wypadku z dość wysokim poziomem nauczania i wychowania. Dzięki temu szkoła ta mogła wypuścić w świat, mimo oddalenia od miasta, nieco chłopskiej i urzędniczej młodzieży, żadnej dalszego kształcenia się. Piszą o tym sami jej wychowankowie:

„Dobra została i zostanie w mojej pamięci — pisze urodzony tu Włodzimierz Waniek (Vanek), ambasador CSSR w Szwecji, ostatnio w Rzymie — na zawsze najpiękniejszym miejscem. Najpiękniejsze lata mojego życia, kościół, szkoła, gdzie uczyłem się pisać i czytać, nasz ogród, dzieci górali — wszystko to wcisnęło się w moją pamięć, tak że się nawraca często, bardzo często. Każdy raz, jak idę tutaj do kościoła, wspominam, jak byłem za ministranta w kościele w Dobrej. Pierwsze poznanie religii dla dziecka zostanie w duszy na zawsze”⁷⁹.

„W Dobrej spędziłem dzieciństwo i najpiękniejsze lata mego życia — pisze również syn tutejszego oficjalisty dworskiego, Franciszek Kopeczny, pułkownik WP — pierwsze lata «edukacji» w szkole ludowej pod kierownictwem nauczyciela J. Gutowskiego oraz wakacyj szkolnych”⁸⁰.

„Rodzice moi mieszkali w Dobry — pisze tutejszy rodak, znany krajoznawca i etnograf, prof. Leopold Węgrzynowicz — od r. 1882. Ojciec był pocztmistrzem. Szkołę powszechną ukończyłem w Dobry. Kierownikiem szkoły był Marcin Szewczyk, który został do Dobry przeniesiony w tym roku, w którym ja zacząłem się uczyć. Poprzednio kierownikiem był Gutowski, który przeniósł się do Nowego Sącza i tam wydawał (zdaje mi się) «Mieszczanina» i jakieś pismo dla nauczycieli, a może także «Sądeczianina» [...] Kilku synów chłopskich kształciło się w Krakowie [...] P. Tadeusz Paszkiewicz w jednym z listów wymienia następujących dobrzan: Adamczyk Józef, proboszcz w Chomranicach obok Nowego Sącza; Brudziana Antoni, sekretarz magistratu w Nowym Sączu; Czech Anna, nauczycielka w Posadzie Górnej obok Rymanowa; Chalcarz Józef, adiunkt sądowy w Tarnobrzegu; Drozd Aleksander, adiunkt sądowy w Bośni; Leśniak Józef, prof. gimn. w gimnazjum św. Anny w Krakowie; Myszał Andrzej, kierownik szkoły w Zabierzowie; Lach Antoni, kierownik szkoły w Woli Justowskiej; Mycoń Józef, inspektor podatkowy w Żywcu; Weredyński (Wydra) Piotr, proboszcz w Szczurowicach obok Brodów; Rudnicki Karol, nauczyciel w Białej; Rudnicka Anna, nauczycielka w Ciężkowicach”⁸¹.

⁷⁹ *Wspomnienia dobrzan*, ADP/L — R 7 (Waniek).

⁸⁰ *Wspomnienia dobrzan*, APD/L — R 7 (Waniek).

⁸¹ *Ibidem* (Kopeczny).

⁸¹ *Ibidem* (Węgrzynowicz).

Nie jest to lista kompletna. Brak w niej ks. Ludwika Rudnickiego, mgra Józefa Stokłosa, dra Tadeusza Paszkiewicza i wielu innych. Ale i ta lista daje nam jakie takie wyobrażenie o społecznej randze galicyjskiej szkoły. Nie jest to jeszcze szkoła nowoczesna, obejmująca swym zasięgiem wszystkie osady. Jej niedosyt szczególnie przykro odczuwają wioski bardziej odległe, szczególnie górskie, jak np. w naszym regionie powołosko-ruskie skupiska ludności zarębniczej, pogrążone z konieczności w mrokach całkowitego analfabetyzmu. Niemniej jednak osady stanowiące ośrodek danego regionu albo jego najbliższe peryferie korzystają w pewnej mierze z dobrodziejstwa oświaty już od dawna, dając krajowi sporo inteligencji ludowego pochodzenia.

„Dążenie do wiedzy i kształcenia się występuje na wsi nie od dzisiaj — pisze prof. Chałasiński. — Spora ilość inteligencji pochodzenia ludowego świadczy o tym najlepiej. Wykształcenie dawało młodzieży wiejskiej okazję przejścia do wyższej warstwy — do inteligencji. Szkoła powszechna pełniła w tym wypadku podwójną funkcję społeczno-kulturalną. Dawała minimum wykształcenia potrzebnego wsi dla jej życia i potrzeb, a także była tym sitem, które przesiewało kandydatów na «panów»”⁸².

Jest to niemałą zasługą Rady Szkolnej Krajowej i jej terenowych oddziałów: okręgowych i miejscowych, oraz nauczycieli tego pokroju, co Rudnicki, Gutowski czy Szewczyk. „Dzięki niej — konkluduje prof. Kot — Galicja została wyrwana z najstraszniejszej ciemnoty, w jakiej od wieku z górą była pogrążona; analfabetyzm w wielkiej połaci kraju został występiiony, w reszcie osłabiony; uświadomienie narodowe i obywatelskie dotarło do szerokich warstw, zwłaszcza do mas chłopskich”⁸³.

Przy tym wszystkim jednak brakowało uświadomienia klasowego. Najbardziej odczuwała to wieś. Inteligencja, która z niej wychodziła, była ludowa tylko z pochodzenia. Natomiast jej samopoczucie było

⁸² J. Chałasiński, *Młode pokolenie chłopów*, tom IV: *O chłopską szkołę*, Warszawa 1938, s. 5.

⁸³ Kot, *op. cit.*, s. 272. Z literatury dotyczącej szkoły ludowej, zwłaszcza galicyjskiej, zob. m. in.: S. Kot: *Źródła do historii wychowania*, cz. I i II, Kraków 1929—1930; S. Kot, *Szkolnictwo parafialne w Małopolsce XVI—XVIII w.* (1912); *Galicyjskie wspomnienia szkolne*, w opracowaniu A. Knoća, Kraków 1955, np. s. XXII nn., s. 449 (Jan Madejczyk), s. 461 (Maciej Czula), i in.; Chałasiński, *op. cit.*, szczególnie materiały dotyczące Małopolski; S. Pigoń, *Z Komborni w świat*, Kraków 1947, s. 53, 116—121; K. Gola chowski, *Szkic z dziejów szkolnictwa ludowego w Nowym Sączu w okresie zaboru austriackiego*, „Rocznik Sądecki”, t. IV, 1960, s. 109—168; F. Bujak, *Zmiąca, wieś powiatu limanowskiego*, Kraków 1903, zwłaszcza rozdz. XIII: „Oświata i kościół”, s. 137—142; A. Wojs, *Z dziejów limanowskiej szkoły parafianej*, „Małop. Stud. Hist.”, R. II, 1959, s. 2—3, 107—113.

u olbrzymiej większości — z wyjątkiem takich Paszkiewiczów czy Węgrzynowiczów — pseudoszlacheckie lub mieszczańskie. Była to wina wyższych warstw społeczeństwa, które kształtowały ówczesne szkolnictwo.

„Szkoła powszechna — zauważa prof. Chałasiński — mimo przeobrażeń i udoskonalień, jakie przeszła i przechodzi, wciąż jeszcze kształtowana jest jednostronnie przez wyższe warstwy społeczeństwa, bez aktywnego udziału samych chłopów, i według poglądu wyższych warstw na to, co chłopu potrzeba. Szkoła powszechna zawsze była instytucją kształcenia wsi ze względu na potrzeby kościoła, państwa i narodu z zupełnym zaniedbaniem sprawy wychowania i kształcenia młodzieży wiejskiej ze względu na samą wieś i jej potrzeby”⁸⁴.

LUD I JEGO OPIEKUNOWIE. Lud galicyjski nie mógł narzekać — również i w 2 połowie XIX w. — na brak opiekunów. Należeli do nich z tradycji: wójt z radą gromadzką, właściciel obszaru dworskiego, miejscowy pleban i ich protektorzy. Przede wszystkim jednak byli nimi austriaccy urzędnicy.

Urząd wójta, znany tu od samych początków akcji osadniczej, później przez dziedziców w różny sposób ograniczany, odzyskał za Austrii swoje dawne znaczenie, szczególnie w związku z nowym ustrojem wsi galicyjskiej w okresie autonomii. Ustrój ten opierał się na uchwalonych w roku 1866 ustawach krajowych o gminach wiejskich i obszarach dworskich. Ustawy te zatrzymywały dotychczasowy typ gminy, tj. gminę jednostkową. Członkami gminy byli zatem wszyscy jej mieszkańcy oraz tzw. uczestnicy, tj. ci, którzy posiadali w gminie nieruchomość albo opłacali w niej podatek bezpośredni. Ustawa o gminach wiejskich usankcjonowała w gminie dwie władze: radę gminną i zwierzchność gminną. Rada gminna pochodziła ze swobodnych wyborów, w których brali udział wszyscy opłacający podatki bezpośrednie oraz posiadający wyższe wykształcenie. Zwierzchność gminną, tj. wójta i przynajmniej dwu przysiężnych, wybierała rada gminna zrazu na trzy, a od 1884 r.

⁸⁴ Chałasiński, *op. cit.*, t. IV, s. 1. Zob. też J. Chałasiński, *Społeczna genealogia inteligencji polskiej*, Warszawa 1946; J. Chałasiński, *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej*, Warszawa 1958; J. Chałasiński, *O inteligencji dyskusja nie kończąca się*, „Życie i Myśl”, 1966, nr 7—8 s. 94—101; J. Szczepański, *Struktura inteligencji w Polsce*, „Kultura i Społeczeństwo”, 1960, nr 1—2, s. 19—48; J. Szczepański, *Z badań nad inteligencją polską XIX wieku*, „Kultura i Społeczeństwo”, 1960, nr 3, s. 133—139; J. Turowski, *Zmiany społeczne wsi a miasto*, Lublin 1949; W. Bronikowski, *Drogi postępu chłopstwa polskiego*, Warszawa 1934.

na sześć lat. Prof. Kutrzeba przypomina dalej, że do gminy należały w dalszym ciągu sprawy „własnego i poruczonego zakresu działania”. Do pierwszych zaliczano: zarząd majątku gminnego i zakładów gminnych, komunikację miejscową, administrację szkolną, opiekę nad ubogimi, jednanie stron spierających się, sprawy miejscowej policji, szarwark, dodatki do podatków szkolne i drogowe, ustanawianie budżetu, nadawanie przynależności i obywatelstwa honorowego itp. Uchwalanie wszystkich tych spraw należało do rady gminnej, wykonanie uchwał — do zwierzchności gminnej. Rada miała ponadto zastrzeżone prawo kontrolowania zwierzchności. Natomiast policją zawiadywał wyłącznie wójt. Do spraw poruczonego zakresu działania należały głównie sprawy podatkowe i wojskowe. Nadzór nad gminami przyznany był częściowo władzom rządowym, częściowo — samorządowym. Obszary dworskie zostały drugą ustawą krajową z roku 1866 wyłączone z gmin wiejskich i oddane pod władzę właścicieli obszarów, którzy spełniali na nich te same obowiązki co gminy⁸⁵.

Na ogół obowiązki te były dość ciężkie tak dla dziedzica, jak i dla chłopów. Niekiedy gmina musiała stosować środki przymusu, szczególnie gdy chodziło o biedniejszych chłopów. Było ich niemało, zwłaszcza na zarębkach. Wobec tzw. „opornych” stosowano czasem egzekucję wojskową.

„Za panowania cesarza austriackiego Franciszka Józefa — pisze Maria Przybytek — pod którym byliśmy kilkadziesiąt lat, nie było jeszcze bardzo źle. Wojsko miało piękny i dobry ubiór. Ale znów musieli żołnierze chodzić po egzekucji za to, jak nie dał kto na czasie podatku, jak nie posyłał dziecka regularnie do szkoły, jak pasał było na fosie, jak nie chciał robić na gościńcu itd. Nieraz żołnierze się skarżyli, że jak przyjdzie do biedniejszego, to zrobi jajecznicę, kupi chleba, ugotuje mleka prosto od krowy i człowiek poje dobrze. Ale jak trafi na bogatego, to da owsianego placka i zbieranego zimnego mleka. A u Żyda, to da bardzo małutko chleba i herbaty bez cukru. A na każdego żołnierza wypadło raz w tygodniu na dwa dni, jak musiał iść po egzekucji”⁸⁶.

Szczególnie ciekawa była w Galicji struktura skarbowości gmin wiejskich i małomiejskich. „W Galicji gminy wiejskie i małomiejskie — podaje prof. Rutkowski — miały w 1909 r. ok. 23 mil. kor. dochodów, co na jedną gminę daje przeciętnie 3,6 tys. kor. bez odliczenia pozycji przebieżnych. Dochody z własności gminnej łącznie z kwaterunkowym dawały 19,2⁰%, dochody z dzierżawy, propinacji i krajowych opłat konsumpcyjnych 5,3⁰%, dodatki do podatków bezpośrednich 23,6⁰%, dodatki

⁸⁵ S. Kutrzeba, *Historja ustroju Polski w zarysie*, t. 4, Lwów 1917, rozdz. VII „Galicja 1772—1915”, s. 303—307.

⁸⁶ M. wsp. nr 5, s. 14—15.

konsumpcyjne 3,2⁰/₀; targowe, polowanie, rybołówstwo 5,5⁰/₀; wpływy drogowe 3,1⁰/₀, opłaty na cele szkolne 2,8⁰/₀, dochody nadzwyczajne 19,4⁰/₀, inne dochody 7,2⁰/₀, zapasy kasowe 7,1⁰/₀. Przeciętnie pobierano dodatki do podatków bezpośrednich 18⁰/₀, a na cele drogowe wahały się one w granicach 25—115⁰/₀. W poszczególnych gminach przekraczały nawet 200⁰/₀. Z dochodów tych na koszt zarządu wypadło 17,1⁰/₀, na czynsze za dzierżawę prawa propinacji i krajowych opłat konsumpcyjnych i administrację majątku gminnego 12,3⁰/₀, na straż bezpieczeństwa i od pożaru 6,0⁰/₀, dobroczynność i sprawy sanitarne 4,9⁰/₀, oświatę 0,9⁰/₀, przedsiębiorstwa gminne 4,7⁰/₀, szkoły i kościoły 12,4⁰/₀, drogi 3,4⁰/₀, cele wojskowe (rekrutacja i kwaterunek) 0,7⁰/₀, na inne wydatki 7,6⁰/₀, a na nadzwyczajne 30,0⁰/₀⁸⁷.

Niezapłacenie przypadającego podatku powodowało zwykle wysłanie upomnienia, a gdy to nie poskutkowało, przeprowadzenie sądowej egzekucji.

„Podatki trza było płacić — wspomina Maria Łukasik, bo jak nie zapłacił, to przyszedł z gminy taki sekweściarz, który zabierał z domu płótno, kocioł (bo był miedziany) i co było najporządniejsze. Później, jak miał jakie pieniądze, to poszedł i zapłacił, to te rzeczy mu oddali”⁸⁸.

Bardziej niż podatki i inne powinności gromadzkie dawały się ówczesnej ludności we znaki rygory służby wojskowej, która trwała początkowo 12 lat. Toteż o każdym niemal czasie można się było spotkać w Galicji ze zjawiskiem dezercji, nie tylko w pamiętnym roku 1846, który dość mocno wyrzył się pod tym względem w pamięci miejscowej ludności.

„Wtenczas była wojna koło Krakowa — pisze Maria Brzeń z Chyszówek. — Brali na tę wojnę młodych chłopów. I miał mój dziadek brata. I drugi chłopak był u sąsiada. Ci należeli do wojska. Dziadek mój nie należał do wojska, bo nie miał dużego palca u prawej ręki. I postanowił sobie ten brat dziadka z tym od sąsiada, że na tę wojnę nie idą. Bo który tylko z Gruszowca czy z Dobrej poszedł na tę wojnę, to słyhać o nim nie było. Tak sobie ci dwaj zrobili kryjówkę. Wykopali jamę koło domu, a wejście do niej było założone gnojem, a dla dostępu powietrza był otwór w innym kierunku. I byliby się ukryli może do końca, ale regularnie co tydzień przyjeżdżało dwóch żołnierzy na koniach i urządzali poszukiwania za nimi. Przewracali wszystko, że o mało całej chaty nie przewrócili. Przy tym zabierali co się dało, a przeważnie żywność i odzież. I jak już tak kilka razy odwiedzili ich, tak nie było innej rady, ino wyjść z kryjówki, boby tam z głodu doszli. Jak ich wtenczas ci żołnierze zabrali, to już ich tyle tylko widzieli

⁸⁷ J. Rutkowski, *Historia gospodarcza Polski*, t. 2, Poznań 1950, s. 395—396.

⁸⁸ M. wsp. nr 4, s. 19.

żywych. Niedługo po ich odjeździe pojechały matki do Krakowa. Chciały się z nimi widzieć i widziały ich, ale już mało żywych na wozach i zmasakrowanych. Jeszcze krew się z nich lała i taki był ich koniec”⁸⁹.

Taki los dezertera odstraszał innych od uchylania się od służby wojskowej. Toteż z latami dezertarów było coraz mniej. Zaasenterowani szli więc z rezygnacją, spodziewając się, że kiedyś władze wojskowe puszczą ich do domu na urlop, a po odbyciu długoletniej służby zabezpieczą ich byt przez przyjęcie do służby państwowej, choćby na najniższych szczeblach. Tak postąpił syn tutejszego młynarza, Józef Miśkowiec (Miskowitz), artylerzysta stacjonowany pod Pragę (1847). Tak też uczynił Melchior Dudzik, funkcjonariusz urzędu podatkowego (*Steueramtsdiener*) w Borszczowie Czortkowskim (1859) czy Józef Przybytek, urlopnik z 20 pułku piechoty, stacjonowany w Temesvar, w Banacie (1860)⁹⁰, i wielu innych.

Wójtowie i rady gminne podlegały powiatowi. Powiatem (*Bezirk*) zarządzał urząd powiatowy (*Bezriksamt*) z naczelnikiem powiatowym jako głową (*Bezirksvorsteher*). Obszar takiego powiatu pokrywał się zazwyczaj z obszarem dekanatu jako jednostki kościelno-administracyjnej. Powiaty, których było w tym czasie w Galicji 176, podlegały starostwom obwodowym (*Kreishauptmannschaft*), przy czym przeciętnie 6—7 powiatów stanowiło jeden obwód, czyli cyrkuł. Starostw obwodowych było 16. W zachodniej części Galicji były starostwa w Tarnowie, Bochni, Wadowicach i Nowym Sączu⁹¹. Nasz region przynależał przed uzyskaniem autonomii Galicji (1873) do starostwa obwodowego w Nowym Sączu. W pamięci tutejszych mieszkańców powiat („becyrk”) zapisał się wyraźniej od „obwodu”.

„Becyrk, gdy ja zapamiętałam, był w Tymbarku. Potem przenieśli go do Skrzydłnej. Kto miał jakieś sprawy czy swary, to szedł do Skrzydłnej. W Skrzydłnej był dłuższy czas. Później przenieśli go do Limanowej i jest tam do dzisiaj. Gdy go przenosili do Limanowej, to wtenczas pojawił się pierwszy chyba na świecie rower [...] Gdy zobaczyli pierwszy rower, to mówili, że jedzie lucyper na jednym kółku”⁹².

Urzędy powiatowe, działające jako władza administracyjna i sądowa, utrzymywały żywy kontakt z terenem. Podobnie i starostwa obwodowe. Znaczną rolę odgrywały przy tym różne pisma urzędowe, okólniki, obwieszczenia i inne akta, których niegdyś pełno było po miejsco-

⁸⁹ M. wsp. nr 8, s. 10—11.

⁹⁰ APD/L — R 5, akta nr 33, 42 i 44.

⁹¹ K u t r z e b a, op. cit., s. 297—298.

⁹² M. wsp. nr 4, s. 79—80.

wych archiwach gminnych i parafialnych. Duża część z nich zachowała się jeszcze w archiwum parafialnym w Dobrej⁹³.

Ważniejsze akta wydawało gubernium we Lwowie. Najważniejsze, o znaczeniu ogólnopolskim, wydawał rząd centralny w Wiedniu, a podpisywał je i firmował sam cesarz. Był nim w drugiej połowie XIX w. Franciszek Józef I (1848—1916). Posiadał on, szczególnie od czasu nadania krajowi autonomii (1867), ogromny autorytet, zwłaszcza wśród ludności wiejskiej. Złożyły się nań różne przyczyny: jego przywiązanie do kościoła i dążenie do polepszenia doli chłopów, przeżyta ewolucja od absolutyzmu do częściowego liberalizmu, ostrożna polityka w stosunku do Rosji i płynące stąd nadzieje dla narodu polskiego itp. Robiła tu też swoje filoaustriacka polityka rządzących krajem konserwatystów⁹⁴. W każdym razie galicyjski chłop zachowywał dla „swego” cesarza głęboką cześć, której echa rozlegają się jeszcze dziś po karpaczkich zaściankach.

Słyszeliśmy już takie sądy, jak „za panowania cesarza nie było źle”; lub „za cesarza Franciszka Józefa I była wolność prawdziwa i sprawiedliwa”. Do tych wypowiedzi dochodzą na naszym terenie jeszcze inne.

„Po tych wszystkich klęskach dał Bóg trochę dobrych czasów, mimo tego żeśmy byli pod zaborem austriackim. Nastąpił wtedy na cesarza Franciszek Józef. Był to dobry katolik i żona jego też była nabożną. Z Polakami się dobrze obchodzili. Cesarz chciał, żeby się ludzie czuli pod nim dobrze. I rzeczywiście, ludzie go polubili. Wiary w Boga nie utrudniał, tylko popierał, bo sam był wierzący ze swoją rodziną [...] A że był rzeczywiście dobrym panującym, to się nie obawiał objeżdżać cały kraj. I zdarzyło się, że przejeżdżał przez Dobrą i Gruszowiec gościńcem cesarskim [...] Na tym gościńcu każda parafia stawiała bramę triumfalną, jak najładniej przyozdobioną. Przy tych bramach gromadzili się licznie ludzie, bo każdy był ciekawy widzieć cesarza. Prócz tego koło gościńca zbierały się małe grupki starców i matek z małymi dziećmi, którzy nie mogli do bramy pójść. I przy tych grupkach małych cesarz przystawał i rozmawiał ze wszystkimi po przyjacielsku. Biednym dawał jałmużnę. Jak ruszał dalej, to błogosławił wszystkich i życzył im szczęścia, zdrowia i Bożego błogosławieństwa [...] Mało co, ino przed każdym osiedlem przystawał, bo prawie wszyscy wychodzili na gościniec, żeby go widzieć, chyba że kto był bardzo chory i już nie mógł wyjść”⁹⁵.

Miejscowa tradycja lubiła jednak nieraz przystrajać wątki historyczne barwną fabułą, często łącząc je z elementami innych przekazów, a nawet pospolitych baśni. Kult cesarza urastał niekiedy wśród tutejszych chłopów aż do swoistego mesjanizmu odkupienia i... zemsty.

⁹³ Zob. APD/L — P 12—15 (teki).

⁹⁴ Zob. J. Buszko, *Galicja i Śląsk Cieszyński w dobie walki o autonomię*, [w:] *Historia Polski*, t. 3, cz. 1, Warszawa 1963, s. 338 nn.

⁹⁵ M. wsp. nr 8, s. 15—16.

„Był cesarz w Wiedniu, w Austrii, pod którym my byli w zaborze. On o pańszczyźnie coś słyszał i chciał się o tym przekonać. Więc się wybrał do chłopów, aby się coś dowiedzieć dobrego. I wstąpił do jednej wdowy i tam zanocewał. A wdowa rano wczas wstała i gotowała dzieciom na cały dzień jedzenie, bo musiała iść na cały dzień do roboty do dworu. A on zdziwiony zapytuje się, dlaczego tak wczas wstaje. A ona mu wszystko opowiedziała. Wtedy on ją pocieszył, że pójdzie za nią do roboty do dworu. I leżał, i śmiał się. A ona prosiła go, żeby już szedł.

— Idźcie, panocku, bo już czas...

A on się śmiał, że ma jeszcze czas.

A gdy zaszedł późno, wydali rozkaz, żeby się położył na ławie. Wtedy wyrznęli 25 buków na tylek. On podziękował i poszedł tam, skąd przyszedł. A gdy przyszedł do swojej stolicy, wydał rozkaz:

— w 24 godzinach wyzabijać wszystkich panów i dwory wyrabować”⁹⁶.

Obok tych wiernopoddanych mitów legła się coraz śmielej myśl o niepodległej i sprawiedliwej Polsce, której hołdowały patriotycznie nastawione jednostki, a nawet całe grupy ludności z wszystkich stanów.

WIEŚ SZKOŁĄ ŻYCIA. Współczesna socjologia wychowania zajmuje się oddziaływaniem wychowawczym środowiska społecznego. Wpływ ten może być mniej lub bardziej trwały⁹⁷. Szczególnie mocno oddziałuje na swych członków środowisko ściśle zamknięte terytorialnie (góry), biologicznie (pokrewieństwo), społecznie (stan) i światopoglądowo (religia). Takie środowisko staje się — w warunkach całkowitej izolacji — jakby matrycą, odbijającą takie same lub bardzo podobne do siebie egzemplarze, co najwyżej w kilku typowych wzorach. Zazwyczaj jednak rzadko się to obecnie zdarza. Są bowiem coraz częstsze biologiczne i kulturowe „przecieki” ze strony otoczenia czy szerszego „świata”. Życie pojedynczych ludzi z danego środowiska staje się wówczas terenem oddziaływania różnych wpływów i wynikiem ich wzajemnej walki. Z kolei i ono zaczyna oddziaływać na kulturowy kształt swego środowiska i na jego społeczną strukturę. Uchwycenie tych dwukierunkowych procesów staje się możliwe tylko przy uważniejszym rozpatrzeniu się w materiałach biograficznych, zaczerpniętych z danego środowiska.

Takim właśnie zamkniętym środowiskiem jest w XIX w. nasz karpacki zaścianek. Jego charakterystyczną cechą, właściwą niemal wszystkim osadom karpackim, jest wzajemne przenikanie się odrębnych ras

⁹⁶ M. wsp. nr 13, s. 7—8.

⁹⁷ O środowisku społecznym istnieje obfita literatura naukowa. Zob. m. in. J. Chałasiński, *Spółeczeństwo i wychowanie*, Warszawa 1948; R. Zaniewski, *Les théories des milieux et la pédagogie mésologique*, Tournai (Belgique) 1952.

biologicznych (nordyckiej, śródziemnomorskiej, armenoidalnej i laponoidalnej), warstw społecznych (rolniczej i pasterskiej) i grup językowych (Polacy, Wołoch-Rusini, Słowacy, spisy Niemcy, Węgrzy), a nawet wyznaniowych (katolicy i prawosławni). Środowisko to wywierało, rzecz zrozumiała, swoisty wpływ na życie jego mieszkańców. Stawało się nawet dla nich istną „szkołą życia”. Za przykład posłuży nam tu niedawna historia jednego osiedla.

„Na osiedlu u Kiwaja — pisze pamiętnikarka ur. w r. 1870 — za moich pradziadków było 4 gospodarzy. Pierwszy pod nr 72 nazywał się Józef Przybytek. Był on leśniczym pańskich lasów. Drugi, brat leśniczego, Wojciech, ożenił się do drugiej chałupy pod nr 73. Żonę jego na imię było Gertruda. Druga jej siostra, Zośka, wyszła za mąż też na osiedle pod nr 113, za Szymona Przybytka. Czwarty gospodarz nazywał się też Przybytek, a przydomek miał «Bajorek». O nr 93 nawet nie wiem nic na pewno, bo chałupa ta teraz już nie istnieje. Któreś z nich pochodziło spod nr 113, bo stamtąd mieli na dożywocie 4 kawałki pola, a własnego gruntu też mieli czwarciznę. Więc gospodarz ten miał najwięcej gruntu, ale nie umiał gospodarzyć i nie miał się dobrze.

Leśniczy miał żonę z Jurkowa od Szerszenia. Ta była bardzo bogata. Wojciech spod nr 73 był kowalem. Kuźnię miał tu, gdzie stoi dom Kucharczyka. Gospodarz Szymon był też pracowity i miał 12 pni pszczół. Miał dużo wosku. Robił świece do kościoła. A jak brał miód, to zwołał wszystkie dzieci z całego osiedla, i każde dziecko dostało od niego taką drzewianą chochlę miodu. Chochlę tę sam robił. Robił też ładne łyżki i wrzeciona i kołowrotki do przędzenia. Gospodarze ci byli z sobą spokrewnieni i żyli w zgodzie wszyscy.

Leśniczy, jako że był od małego chłopaka wychowany we dworze przy dziedzi, a było to za pańszczyzny, robił ze siebie pana. Mówił po czesku, chociaż umiał po polsku. Z chłopami nie zawsze dobrze się obchodził. Bywało nieraz, że gdy mu w zimie brakło drzewa opałowego, a ujrzał, że chłop z Pólrzeczek wiezie drzewo na sprzedaż do Limanowej, to wyszedł przed dom i zawołał:

— Chlap! Jechał tu...

I chłop musiał zjechać i dać mu drzewo, i pojechać do Pólrzeczek z niczym. No, ale potem, jak się chłopci rzucili na panów, tak i jego szli zabić. Dobrze, że brat jego Wojtek [...] przybiegł i kazał mu uciec, a sam z synem 19-letnim Jędrusem w dwóch godzinach cały majątek powynosił i ukrył. Potem leśniczy się przechwalał:

— Prawda? Ja uciekł [...] Prawda? Ja uciekł [...]

Wojciech był wójtem, ale że leśniczy te jakieś obligacje, co się wójtowi należały, zabierał dla siebie, tak Wojciech nie bardzo długo był tym wójtem. Miał dużo roboty w kuźni, a prócz tego chodzili ze szwagrem Szymonem za kłusownictwem [...]

Szymon miał 3 córki i jednego syna, Stanisława. Dwie córki wydał z domu za mąż. Trzeciej, że poszła za palacza w tartaku na Brzezulowie, a ten był bezrolny i nazywał się Rybka, więc wybudował jej chałupę i dał jej kawałek pola. Gospodarstwo rolne oddał synowi Stanisławowi. Syn już nie umiał tak gospodarzyć i za jego gospodarki wyginęły pszczoły.

Gospodarz przezwany «Bajorkiem», Przybytek, miał chałupę w sadzie nad gościńcem, gdzie jest Michorzyc. Miał dużo dzieci. Te dzieci chorowały i umierały. Potem przyszły lata nieurodzaju. Za chlebem trzeba było jechać daleko, aż

do Zbydniowa, więc gospodarz ten wysprzedał bydło i zadłużył się u leśniczego. Z dzieci zostało mu tylko dwóch synów. Wtenczas leśniczy zaczął go namawiać, ażeby sprzedał grunt. Mówił:

— Po co Wam tyle gruntu? Dzieci Wam wymarły. Ci dwaj synowie też umrą, bo źle wyglądają. Wam wystarczą te cztery kawałki pola, które macie na dożywocie spod nr 113 [...]

Tak ten sprzedał cały grunt razem z chałupą.

W taki sposób z osiedla Kiwaje znikło jedno gospodarstwo, a leśniczy miał pół roli gruntu.

Miał on 5 córek i 2 synów. Córki były piękne i sławne, bo od pół roli gruntu. «Leśniczki» od Kiwaja — to było coś lepszego. Trzy się wydały z domu. Czwartej, Jagusi, dał w posagu grunt, kupiwszy od sąsiada. I znów musiał budować dla niej dom, bo wyszła za mąż za Chalcarza z Brzegu.

Wojciech Przybytek miał 3 synów i jedną córkę. Córkę wydał do Judy za Szymona Judkę. Syn jeden ożenił się u Wątor, ale potem wyjechali na Kwasowice, a na tym miejscu siedzi Krzysztofiak. Drugi syn był krawcem i miał od ojca kawałek pola i dom, gdzie mieszka teraz Kucharczyk. I wtedy na osiedlu było już siedem chałup.

Ze starych ludzi umarli już u Szymona oboje. Umarł leśniczy i babka Wojciechowa. A gospodarstwo objął syn Jędrzej. Żonę miał od Wątor z tego domu, gdzie brat jego poszedł. Gospodarstwo po leśniczym objął syn Jan. Żonę miał od Gorli, córkę Piechówki. Stanisław pod nr 113 miał żonę z Zadziela i do tego samego domu poszła jego siostra za Wydrę. To już było drugie pokolenie gospodarzy na osiedlu za mojej pamięci.

Umarła też leśniczyna. Syn leśniczych, Antoni, wyjechał do Węgier i tam się ożenił. Ostatnia córka leśniczych poszła za Czupra Błażka. Została po niej córka Marysia, gdzie jest Piechówka Ludwik w rynku”⁹⁸.

Życie na osiedlach wypełniają stale te same troski, przy czym na pierwszy plan wybijają się ciągle kłopoty gospodarskie, pretensje rodzinne, ożenki, spory, komisje, wzajemne animozje i intrygi itp. Przyjmują one niekiedy postać szczególnego wyrafinowania i złośliwości, jak o tym świadczą dalsze wywody autorki.

„W tym czasie umarł mąż córki leśniczego Agaty, zostawiając młodą, 25-letnią wdowę z dwoma synkami. Była piękna, majątek miała i dom, więc zaraz na przyszły rok wyszła za mąż za Franciszka Marka. Pochodzi on od Masłonia [...] Zaraz też ze szwagrem Janem wzięli się mocno za rękę.

Tymczasem sąsiad z osiedla, Jędrzej, syn Wojciecha, zapłaciwszy kosztą procesu (przegranego) o pastwisko koło piwnicy Janowi, synowi leśniczego, trochę się zadłużył. A że nadchodziła wiosna a nie miał pieniędzy na siewy wiosenne, zabrał jakieś bydłę ze stajni i poszedł na jarmark z córką swoją najstarszą Marysią. W Tymbarku na jarmarku Jędrzej ujrzał swojego znajomego gospodarza ze Słopic. Ten zaraz się zapytał:

— Wasza to córka, Jędrzeju?

— Moja — mówi Jędrzej.

⁹⁸ M. wsp. nr 5, s. 64—77.

Córka Jędrzeja bardzo się mu podobała, a że miał syna, który przyjechał z Ameryki i szukał żony dla niego, więc mówi:

— Słuchajcie, Jędrzeju! Wy macie pono dosyć dużą gospodarkę. Mój syn przyjechał teraz z Ameryki. Ma blisko 2000 reńskich. Możebyście go przyjęli za zięcia?

— To przyjdźcie — mówi Jędrzej. Jak się Wam nasza gospodarka spodoba, to Wam będziemy radzi.

Gospodarz przyszedł. Wszystko mu się bardzo spodobało. Obiecał, że w niedzielę przyjadą obaj z synem. I przyjechali.

Tymczasem sąsiad z osiedla, Franciszek, przybrał słodziutką minę i przyszedł dowiedzieć się, kto i po co przyjechał. Nowina ta bardzo go przeraziła. On myślał tę rodzinę zniszczyć i grunt kupić. W tej myśli już dawno podburzał najstarszego syna Jędrzejowego Józefa:

— Nie rób w domu! Nie pomagaj ojcu! Niech ci da grunt! Niech cię żeni!

A ojcu mówił znów inaczej:

— Jędrzeju! Jakiego Wy macie syna! Ja bym takiemu nic nie dał! Wiecie Jędrzeju... Sprzedajcie grunt i podzielcie ich pieniędzmi [...]

U Jędrzejów kawalera jakoś nie widać. Uszło 3 tygodnie. Uszło 6 tygodni. Jędrzej mówi do żony:

— Chyba żebym poszedł dowiedzieć się, co tam jest [...]

— Ale po co! — mówi żona — To nie wypada naganiać kawalerów do córki. Sami przyjdą. — Aż potem sąsiad Franciszek im powiedział, że ten kawaler się już ożenił w Słopnicach.

Spotkany potem na jarmarku słopnican powiedział Jędrzejowi, że córka jego mu się podobała, ale kobieta jakaś przynosiła listy od Waszych sąsiadów, że córka Wasza pójdzie za mąż za jakiegoś tam pana Paszkiewicza. No, i różne takie plotki [...]

W jakiś czas później zachorowała ciężko wdowa Kazimierzowa, która miała chałupę u potoku u Judy. Widząc, że musi umrzeć, posłała po księdza. Po księdzu posłała po córkę Jędrzeja Marysię. Gdy ta przyszła, zaczęła ją przepraszać, mówiąc:

— Daruj mi, Maryś, bo ja teraz umierać muszę, a to ja nosiła te listy do Słopnic, do tego, co się z tobą miał żenić”⁹⁹.

Niektóre sceny opisane przez naszą autorkę, a zarazem bohaterkę Marysię, w jej wspomnieniach tchną okrucieństwem i zemstą, przypominając średniowieczną wendetę.

„Było to na wiosnę. Córka z ojcem gospodarowali jak mogli. Najmłodszy syn Aleksander wyjechał do Ameryki. Mieli w gospodarstwie krowę jedną i dwie kozy. Było to we Wielką Sobotę. Kozy chodziły po górce, bo była pogoda. A że było już wieczór, wszyscy poszli już do kościoła. Jędrzej mówił córce, ażeby poszła węgnać te kozy. A tu z karczmy, z Krzyżowej, idzie pijany Wojtek, syn Jana spod nr 72 i woła:

— Gdzie ty tam te kozy pasiesz?

I zaczął ją gonić. Ojciec ujrzał i wyszedł, i pomógł córce węgnać te kozy. Bo był to jeszcze krzepki człowiek, chociaż miał 78 lat. I zgniewał się bardzo na tego Wojtka i mówi mu:

⁹⁹ M. wsp. nr 5, s. 80—98.

— Co ją ty tak gonisz [...] To przecie nie Franciga [...]

Ten jak to usłyszał, zgniewał się strasznie. Franciszka to była jego dziewczyna sprzed kilkunastu lat... O tej to Francidze kiedy stary Jędrzej, nie opamiętawszy się, co mówi, powiedział, Wojtek zawył strasznie ze złości i powiedział staremu, że go zabije. Jędrzej wszedł do chałupy i zamknął drzwi na zapórę. Ten zaczął bić we drzwi, ale były mocne. Ludzi po osiedlu nie było, bo poszli do kościoła. Wojtek, skoro nie mógł wyważyć drzwi, wyrwał okno do stajni i przez stajnię wszedł do chałupy. Stary, kiedy spostrzegł, że on wiazi oknem, odemknął drzwi i myślał, że ucieknie gdzie do drugiej chałupy.

Ale Wojtek skoczył i złapał Jędrzeja, rzucił go na ziemię, klęknął kolanami na piersiach i zaczął go bić pięściami po głowie. Córka broniła ojca, jak mogła, i ona też dostała [...]

Dopiero przyszła matka po niego i mówi:

— Wojtuś! Chodźże do chałupy. Co se będziesz takim ladacem ręce paproś!

I poszedł Wojtuś, bo Jędrzej już był dobrze zbity. Zaczęła mu krew iść ustami, ale się porwał z ziemi i wszedł do izby, lecz krew mu szła. Na trzeci dzień po tym pobiciu Jędrzej prosił, ażeby przywieźli mu księdza, bo się czuł słaby. Umarł w sobotę rano. Tydzień przeżył po tym pobiciu. Kiedy miał umierać, prosił córkę, aby się nic nie kłopotila z nimi o to pobicie, bo on i tak stary, i bez bicia też musiałby już umrzeć:

— A ja sam winien, bo jakbym mu nic nie powiedział, to by mnie nie bił [...]

Ten sam Wojtek pobił do utraty przytomności i w głowę ciężko pokaleczył sąsiada Jana Przybytkę.

W roku 1914 Wojtek poszedł na wojnę i już nie wrócił”¹⁰⁰.

Życie na różnych osiedlach różnie się przedstawia. W sumie daje ono obraz życia wsi czy całego regionu, a raczej jego zasadniczego tła, na którym dopiero rozgrywają się ponadosiedlowe procesy życiowe: gromadzkie, regionalne czy krajowe. Procesy te są zwykle wypadkową dwu zmagających się ze sobą sił: tradycji i postępu. Pod tym względem wieś nie jest wyjątkiem. Niekiedy nawet, mimo swego upośledzenia, wyczuwa potrzebę postępu, wyprzedzając niektóre ospałe osady miejskie.

„Moja mama mi opowiadali — pisze inna pamiętnikarka, ur. w r. 1866 — że u Ćwiesia, w domu Myszów, był taki komornik, co go nazywali «Dyndas». Gdy wieczór wyszedł na pole i spoglądał na gwiazdy, to wrócił do domu, mówiąc że coś widział. Gdy go pytali, co widział, to mówił:

— Będą ogniem młócić, będą ogniem sieczkę rznąć, będą ogniem orać, mleć, jeździć [...]

A gospodarz na niego krzyczał, że jest głupi. A on mówił, że my tego nie doczekamy, ale będą tacy, co doczekają. Niektórzy się mu sprzeciwiali, bo mówili:

— To takie głupie, to się mu tak bzdurzy [...]

I teraz ludzie rzeczywiście się doczekali tego ognia, bo teraz się wszystko motorami robi, młóci, orze itd.”¹⁰¹.

¹⁰⁰ M. wsp. nr 5, s. 104—120.

¹⁰¹ M. wsp. nr 4, s. 16—17.